

Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

Czasowo wychodzić będzie co dziesięć dni każdego 1-go, 11 i 21-go dnia miesiąca.

DEWIZA: „Sercem gryzę“

Słowacki.



POD KIER. LIT. **Leo Belmonta.**

Przedpłata z dodatkiem wynosi:

w Warszawie z odnośzeniem,
 kwartalnie 2.— k.
 półrocznie 4.— „
 rocznie 8.— „

Uwaga. Zamiejscowi abonenci dopła-
 cają kwart. kop. 25. półrocznie k. 50
 rocznie rb. 1.00—za przesyłkę.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Marszałkowska 97-a m. 8.

Telefon № 118-98.

Administracja otwarta od 10 — 6 pp.

Cena ogłoszeń:

Za wiersz petitowy strona I 50 kop
 „ „ „ „ IV 30 „
 Reklamowe (przed i za tekstem) 40 „

Numer pojedynczy 25 kop.

TREŚĆ NUMERU: Utwory Leo Belmonta. „Skandaljada“. Pierwszy skandal V kaden-
 cyi Trzeciej Dumy. — O krowiem mleku, o śmiertelności dzieci i o kasie Mianowskiego
 bardzo pouczająca rzecz.—„Gody życia“ czyli tryumf pani Przybyłko.—Z powodu „Cyga-
 neryi Warszawskiej“ Nowaczyńskiego.—„Czujemy się jak w cyrkule“—z powodu zatargu
 prasy z technikami.—Pani El.—Werter.—Jolanta.—Pod adresem „Prawdy“.—**Leona Cho-**
romańskiego: Pani Hould, czyli Dziwna miłość (Nowela, dokończenie). — **L. Rafall'ego:** Do
 Matek niekarmiących.



Trzoda rogata.

Kliska Tyg. Ilustr.

F. P. Roos.

Werter.

Niechaj choćby krótkim wierszem upamiętnię wystawienie natchnionej opery Masseneta, subtelną grę i włoski *bel-canto* Gensardiego-Wertera i powab Lotty-Lachowskiej.

Jej wieczny czar ukazał nam poeta... *)
Chleb kraje Lotta ręką siostry-matki;
I u jej stóp swywołą wdzięczne dziatki...

Weselem drga — muzyka Masseneta.

Werter ją widzi... Temu źle na świecie,
Kto po ten skarb napróżno sercem sięga.
Lecz z innym już związała ją przysięga!

Jak jego ból ty czujesz, Massenecie!

Serdeczne rany nigdy się nie zgoją...
Śmiertelny jad tkwił w pierwszym pocałunku;
Nie będziesz pił z jej ust rozkoszy trunku!

Werterze umrzyj! Lotta nie jest twoją!

Miłości szal ukoi tylko Leta...
Ty płaczesz, Lotta?!... Nie czas już żałować!
W burzliwą noc pobiegłaś go ratować...

Jak huczy grom—w muzyce Masseneta!...

Miłością teraz drży Charlotty łono,
Gdy Werter legł—ze skronią przestrzeloną...
Do zimnej piersi tuli się kobieta...

Rozpaczą drga — muzyka Masseneta!

„JOLANTA“.

(Opera Czajkowskiego).

Pani M. W. ohlównie poświęcam.

Ślepemi oczy wpatrzona w błękitny
Nic o nieszczęściu swem Jolanta nie wie—
Ale jej dusza drży tęsknotą w śpiewie,
Jakby różowe zgadywała świty.

Mieszka w ogrodzie czarownym królewna
I wie, że wonią oddychają róże,
Lecz o ich cudnej bieli i purpurze
Nie wie jej dusza cicha—rzewna—śpiwna...

Ach, czarnoksiężka mądrość dusz lekarza
Wróży, że światło rozbłyśnie w jej oku,

*) O „Werterze“ Goethego pisaliśmy w Nr. 127 „Wolnego Słowa“.

Jeśli wprzód pozna, że żyje wciąż w mroku,
I ból zrozumie, co duszę przeraża!...

„Bo nigdy widzieć nie będą te oczy,
„Co nie pojęły nieszczęścia ślepoty...
„Nie zajaśnieje temu dzionek złoty,
„Kto siłą ducha nie chce wyjść z pomroczy!“

I przyszła miłość i królowie rzekła:
„Nie wiesz, Jolanto, jak pięknem jest słońce,
„Róże miłości jakie są płonące...
„O, daż do światła z twoich mroków piekła!“

I przyszła boleść i błaga litości:
„Niech los cię tego, kto cię kocha, wzruszy,—
„Nateż, Jolanto, wszystkie siły duszy—
„Przejrzyj—i wstąp z nim do nieba miłości!“

Z zawiązanemi oczy stąpa biała—
A moc jej duszy bije w oczy ślepe,
Prześwieca blaskiem miłosnym ich krepę:
Zrzuciona chusta—Jolanta przejrzała!

Tej niewidomej marzące oblicze
Widziałem—i te blaski tajemnicze,
Które wzywała do żrenie Jolanta,
I nagle w oczach zapalone znicze,—
I pomyślałem: Gdyby duch tu Danta
Zeszedł, to rzekłby: „idzie Beatrice!“

Pod adresem „Prawdy“.

Z wielkim żalem zmuszeni jesteśmy stwierdzić, że Redakcja „Prawdy“, przynosząc ujmę tym swoim współpracownikom, którzy godni są jej szanownej przeszłości — dziedzictwo, wzięte z rąk Świętochowskiego—grecki przybytek „Polska Prawdy“ zamienia na zajazd, w którym prywatnie wyprawia orgie oszczerstwa, w którym hałasują ludzie jednakowo mali moralnie i umysłowo, w którym depce się sztandary sprawiedliwości.

Oczywiście, skoro obecna „Prawda“ uważa za większy zaszczyt dla siebie być filją pana Ludwika Fryzego, niż córą Świętochowskiego, i woli przepisywać insynuacje brukowego świstka, niż uczciwie cytować wyroki „Towarzystwa Kultury Polskiej“ — to nie zazdrościmy jej gustu, ale zwracamy uwagę, że i w lokajstwie względem pana Fryzego winny być zachowane pewne granice. Na razie zajęci innymi pracami, odkładamy sobie wyświetlenie faktyczne naszych zarzutów, (dla tych, którzy nie odgadli pod tchórzliwym frazesem „Prawdy“ pewnej ukrytej niegodziwości), oraz danie lekcji uczciwości zapominającemu się organowi—do najbliższego numeru.

Z przyczyn natury technicznej numer uległ opóźnieniu. następny wyjdzie 21 Listopada. Opóźnienie to wynagradzamy naszym abonentom bezpłatnym, na których jedynie opiera się byt „Wolnego Słowa“ — stałem powiększeniem ostatnich numerów o 4 kolumny.

Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

POD KIER. LIT. Leo Belmonta.

Skandaljada.

Pierwszy skandal V kadencji w III Dumie.

Ojciec Johna Stuarta Milla doradzał mu, aby celem nauczania się zwyciężłości i panowania nad formą przekuwał w rymy zdarzenia, które uderzają jego wyobraźnię. Idąc za radą ojca Johna Stuarta Milla, zamierzam wszystkie skandale Dumskie notować (dla czytelników W. Sł.) w rymach. Bez komentarzy! Czuły słuchacz sam je sobie prozą dośpiewał

„To było wkrótce potem, gdy Ochrany
[członek

Ugodził w pierś Premjera!...

To był trzeci dzionek

Ostatniej sesyi trzeciej Dumy w Październiku...

Więc imieniem kadetów (śród prawicy
[krzyku)

Przeciw pracom Ochrany wniósł interpelację
Pan Teslenko... Przekładał Izbie swoje racje
Ku zniesieniu „porządku“, który „wnosi

[zameł
„I praw wyjątkowością nicuje parlament,
„A jak widać z żalobnej Kijowskiej winy
„Godzi w najwyższe szczeble społecznej
[drabiny!“

Zachnął się na to mocno słynny Markow II
I woła: „Z tej żaloby pragniecie usługi!
„Gdy rewolucja znowu podnosi łeb hardy,
„Wy dla praw wyjątkowych chcecie żądać
[wzgardy?!...

„Czas byłby już zaprzestać tych głupich po-
[wtórzeń,
„Że „niema konstytucyi u nas...“ Dość wy-
[nurzeń

„Żalonych na ten temat! Czas uprzętnąć
[trupy

„I zakopać na miejscu właściwym... do kupy!
„Bo konstytucyi w Rosyi—nie było—i niema
„I nie będzie...

A taki, co inaczej mniema
„Jest zbrodniarz—i wart tego, by siedzieć
[w więzieniu...“

Więc znów prawil Teslenko w kadetów
[imieniu:

„Tą myślą nasze prace są zawsze natchnione,
„Że stany wyjątkowe zostaną zniesione!

„Wy jednak—tu się zwrócił do Październikowców —

„Nie chcecie wywieść Rosyi z dzisiejszych
[manowców...

„Zrobiliście przyznanie wagi niesłychanej,
„Iż chcecie w dalszym ciągu wyjątkowe

[stany
„Wprowadzać nie na drodze ustaw parla-

[mentu,
„Lecz administracyjnie... Tu nie masz wy-

[krętu:
„Kraj to cały usłyszał—w pamięci zachował!

„Pamiętajcie—ż wy jednak te poważne słowa,
„Które wyrzekł praw znawca, Jellinek

[uczony:
„Taki sposób działania podkopal dwa trony
„Angielską i francuską koronę kosztował!“

.....
Ledwie słów tych Teslenko Izbie doczytał
Gwar powstał na prawicy... stuknęły pul-

[pity,
Głosy: „precz z nim!“ wstrząsnęły Tau-

[rydzkie sufity
(Szczęściem że naprawione)... Słychać

[gniewne słowa:
„To jest do królobójstwa wyraźna namowa!
Z zaciśniętymi pięściami biegną ku Teslence:

„Zachęca do terroru!“ Już podnoszą ręce:
„Zuchwalec!...“ Długo dzwoni prezes, pan

[Rodzianko,
Aż wreszcie zapanował nad oną naganką
I Teslenkę śród ciszy wzywa do porządku...

To daje Izbie sygnał do nowego wrzasku:
„Tego mało! On wzywał kraj do rewolucyi!“

„Wykluczyć go!“—żądataj takiej rezolucyi.
I hałas rośnie, niby wzbawianione morze,

Którym orkan uderza o skaliste łoża.

.....
Więc prezes czyni przerwę dziesięćminu-
[tową...

A kiedy posiedzenie otworzył na nowo,
Rzecz, iż się zapoznał właśnie z stenogra-

[mem

I uznał, że tamtego „jest mało“ — tem sa-
[mem
Proponuje: czy Dumie nie będzie na rękę—
„Na 15 posiedzeń wykluczyć Teslenkę“.

Więc Teslenko tłumaczy Izbie swój uczynek:
„To nie ja tak mówiłem, lecz sławny Jelli-
[nek!

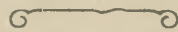
„Nie sądziłem, że mogą uczone cytaty
„Na takie mnie narazić w Izbie tarapaty...
„Zwłaszcza, że moim słowom nadano zna-
[czenie,

„Jakiego w nich nie było!... A iż Dumę
[cenię,

„Nie sądziłem, że tutaj ktoś chwyta za
[słowa

„I że w murach tej Izby cenzura się chowa
„Na cytaty z historii i uczone prace...
„Więc jeżeli 15 posiedzeń utracę,
„To będę wówczas do tej hypotezy skory,
„Że jest tutaj cenzura...“

Bulat, Heheczkory
I Milukow z pomocą przyjść pragną Tes-
[lence...
Lecz Rodzianko odmawia im głosu... Już
[wre
Mnogie krzyczą: głosować!... Znowu wre
[Izbica:
Szepce centr, lewi huczą — i wrzeszczy
[prawica...
Teslenkę wykluczyło—był rezultat szczerzy —
Przeciw 108-u głosom — 144!



L. RAFALLI.

Do matek niekarmiących.

(Ustęp z dzieła uwieńcz. 1-szą nagrodą na konkursie Akademii Francuskiej).

O karmieniu niemowlęcia—uwagi wiejskiego lekarza.

Dając życie istocie, która o to nie prosiła, stworzyła sobie kobieta równocześnie obowiązki, których nie może nie wypełnić pod odpowiedzialnością wyrażenia krzywdy społecznej. Dziecko ma prawo, prawem natury, do mleka swojej matki; i nie tylko należy mu się ono, lecz jest jego wyłączną własnością. Odebrać mu to prawo, pozbać go tej własności—jest kradzieżą i zarazem krzywoprzysięstwem przez niewykonanie obietnicy danej dziecku w chwili poczęcia. Obowiązkiem lekarza jest napiętnować te matki wynaturzone, które bez koniecznych przyczyn nie chcą karmić swych dzieci. Nie wypełnić tego obowiąz-

ku matki, aby mieć mniej zachodu, aby zachować świeżą cerę, gładkość skóry, podobać się i pozostać pożądaną—jest więcej zaiste niż zbrodnia, jest głupota, która sprowadza przeciwny skutek, i która ma, albo może mieć poważne wpływy, nie tylko z punktu widzenia estetyki kobiecej piękności, lecz także na ogólne zdrowie. Nie zawsze można bez niebezpieczeństwa przerwać funkcję naturalną i nie zawsze bezkarnie wprowadza się zaburzenia do całego organizmu.

Postaram się wykazać za pomocą może przekonywających argumentów, że tylko mleko matki stosowne jest dla dziecka — a tymczasem spróbuję obalić niemądry przesąd, że karmienie jest synonimem utraty piękności (brzydnięcia).

Osiągnę—mówi dr. Rafalli—bez wątpienia, to samo powodzenie, co ci, którzy głoszą dobrodziejstwa wegetarjanizmu ludożercom afrykańskim, lub chcą wyjaśnić brzydotę złodziejstwa murzynom obu światów. Na co stworzyłby Bóg biedne kobiety, jeśli nie po to, aby nam służyły za mamki? — mówią nasze modne damy. A jednak, jeżeli wierzymy lekarzom i pisarzom cesarskiej Romy, to brzydota zaczęła szpeci szlachetne ginecea od czasu, kiedy damy rzymskie zaczęły oddawać dzieci swoje do karmienia niewolnicom.

Karmienie nie oszpeca kobiety — przeciwnie—czyni ją piękniejszą. Oczy nabierają łagodniejszego blasku, piersi się rozwijają i cała postać staje się kształtniejszą, czego nie dokona w tym stopniu nigdy ani masaż lub elektryzacja, ani żadne modne wcierania. Kobiety, które karmią, nie potrzebują ani fałszywych bioder, ani gorsetów wypchanych wata, ani innych sztucznych sposobów, których wyliczanie byłoby za długie i nudne. Powiem więcej, uważam karmienie za przypływ świeżych i młodych soków odżywczych, które pobudzają wszystkie organy i pogłębiają wszystkie funkcje. Jest to eliksir młodości, który krążąc w żyłach kobiety uzdrowia wiele więcej niedomagań, niż ich wywołuje.

Jeżeli, jak przypuszczają, wszystkie gruczoły w organizmie dopełniają, oprócz funkcji widzialnej i wiadomej, jeszcze pewnej czynności ukrytej, której się zaczynamy domyślać, t. j. wydzielania wewnętrznego wielkiej wagi—to można twierdzić, że wydzieliny wewnętrzne gruczołów piersiowych są dla kobiety nie tylko eliksirem zdrowia, ale zarazem i eliksirem piękności trwałej.

A więc, młode kobiety, karmcie wasze dzieci, aby być pięknymi, aby zachować

lub odzyskać zdrowie, a także, aby te dzieci pozostały ciałem waszego ciała i krwią waszej krwi. Nie zapominajcie, że wasze dziecko, karmione przez osobę obcą, przestaje trochę być waszem dzieckiem; staje się do pewnego stopnia dzieckiem tej drugiej. Zachodzą w rzeczywistości pod wpływem obcego mleka, które nie powinno być jego pożywieniem — pewne niejasne zmiany w organizmie dziecka, które już dawniej przypuszczano, o ile nie zostały już stwierdzone, lecz którym my zaprzeczamy, ponieważ ich nie rozumiemy, nie umiemy ich wyjaśnić i uważamy się za nazbyt uczonych, aby móżdż się przyznać do naszej ignorancji.

Jeżeli przyczyny tych zmian zbadać nie możemy, to jednak wynik ich widzimy, jest on realny i nie do zaprzeczenia. Jest stwierdzone i uznane od bardzo dawna, że pożywienie ma donośny wpływ nie tylko na rozwój ciała, ale i na indywidualność danego osobnika.

Hodowcy dobrze poznali wpływ pożywienia na zwierzęta, które hodują, a to co tutaj powiemy o małym narodzie owadów dostarczy nam dowodów bardzo ciekawych (bijących w oczy). Wiecie, co robią pszczoły, gdy ich królowa umrze lub zginie i gdy nie mają więcej komórek zapasowych. Niszczą wtedy kilka szczupłych komórek i z tych szczątków budują na nowo komórkę, w której składają jajko zniesione przez nieobecna królową — to jajko, z którego w zwykłych okolicznościach byłaby się wylęła pszczoła robotnicza, to znaczy bezpłciowa. Od chwili wydobycia się larwy, karmią i pielęgnują ją pszczoły specjalnie i dochodzą tym sposobem do przemiany larwy nijakiej na samiczkę o brzuchu silnie rozwiniętym, zdolną wytworzyć nowy naród skrzydlaty. Jeśli to wszystko jest prawdą, to widzimy, że pożywienie nie tylko może zmienić zewnętrzny wygląd danej istoty, lecz także, przynajmniej u istot niższego gatunku, wywołać przemianę radykalną. Jest tutaj więcej niż zmiana formy — bo zmiana natury. W górach oddawna przypisują charakter kapryśny i oporny u niektórych dzieci temu, że były one karmione mlekiem kozim. (Stare wierzenia zawierają dużo prawdy i nie trzeba ich lekceważyć).

Chcąc zbadać dokładnie sprawę, która nas zajmuje, zastanówmy się nad ustrojem nowonarodzonego dziecka i jego stosunkiem do ustroju matki. Organizm ludzki składa się, jak wiadomo, z ośrodka płynnego, w którym zanurzone są wszystkie budujące go elementy. Tym ośrodkiem

płynącym, a zarazem źródłem ożywczem wszystkich tych elementów — jest surowica krwi, i surowica krwi dziecka nie jest niczem innym jak częścią surowicy krwi matki. Jest to prawda, której zaprzeczyć nie można. Nie można zaprzeczyć, że surowica, w której są pogrążone elementy komórkowe, wywiera wpływ na właściwości tych elementów. Nie można także zaprzeczyć, że te elementy, zrodzone jakgdyby z tej surowicy i karmiące się nią i przez nią, ulegają niepożądanym wpływom, jeśli zamienimy tę surowicę na inną — ponieważ nigdy jedna surowica nie jest równą zupełnie drugiej — będąc jednostką żyjącą, jedyną w swoim rodzaju. Surowica jednego człowieka nie jest surowicą jego sąsiada, czego dowodem jest, że surowica pierwszego wstrzyknięta drugiemu, wywołuje w jego organizmie zaburzenia, które uwiadcniają się podniesieniem temperatury, co jest objawem nietolerancji. I będzie on tym silniejszy, im więcej będą się różniły charakterystyki tych dwóch surowic.

Otóż, jeśli mleko nie jest niczem innym, jak surowicą krwi, zawierającą ciała tłuszczu i masła, trzeba uznać, że mleko matki nadaje się doskonale dla niemowlęcia, gdyż powstaje mieszanina dwu surowic tego samego pochodzenia, która nie może wywołać jakiegokolwiek zaburzenia w organizmie dziecka. Podczas życia embrjonalnego żywiła matka dziecko swoją krwią — podczas karmienia żywi je ona w dalszym ciągu swoją krwią — jest to wciąż to samo pożywienie i jest to pożywienie idealne.

Dla dziecka niema nic lepszego i cenniejszego nad mleko matki, gdyż jest to krew jego krwi z wszystkimi jej ujemnymi ale i dodatnimi właściwościami. Jeśli więc chcecie, młode matki, mieć dzieci mocne i wyłącznie „swoje“, dajcie waszym dzieciom, co im winnyście i co do nich należy.

Wyjdzie to na dobre i wam i waszym dzieciom.

Nie będziecie mniej pięknymi, a spełnicie przykazanie natury, najszlachetniejszą funkcję i w zadowoleniu spełnionego obowiązku znajdziecie źródło czystych radości, których napróżno szukałybyście gdzieindziej.



O krowiem mleku, o śmiertelności dzieci i o kasie Mianowskiego bardzo pouczająca rzecz.

Słówko prawdy o krowie.

Przepraszam wszystkie krowy...

Ale „Wolne Słowo“ zobowiązało się do bezwzględnej szczerości! Tylekroć ośmieszyło obywatelskie woły i dziennikarskie ciołki, że niema prawa stosować miar podwójnych i ulegać słabości wobec „pici pięknej“.

Powiem, co myślę...

Krowa ma głupie wylupiate oczy!

Jej ogon, acz pożyteczny przy odganiaaniu much, nie posiada elegancyi wachlarza salonowego.

Linie biodr krowy nie są ładne.

Jej wymiona są wprost komiczne. Niema ich co tak pokazywać! Czynią chód krowy ociężałym.

Co do głosu krowy—bądźmy otwarci!—nie jest on możliwy w żadnej operze. Krowa—za pozwoleniem—ryczy.

Krowa ma brzydki zwyczaj. Ona... prosto brudzi zielony obrus łąki, na której Opatrzność zgotowała jej ucztę.

Krowa zuje obojętnie, nawet kiedy przechodzi luksusowy pociąg kurjerski, wiozący dygnitarzy.

Słowem—krowa jest głupia i brzydka.

Ale ta moja krytyka bynajmniej nie znaczy, że nie dowidzę wielkich zasług krowiego rodu wobec ludzkości.

Jesteśmy od wieków w spółce z krową.

Dajemy jej paszę—to prawda. Ale ona nie bierze od nas nic darmo.

Jest głupia, ale uczciwa. Może daje nam więcej, niż bierze od nas.

Cobyśmy zrobili z trawą, która nas żywić nie może? Za tę bezużyteczną dla nas zieloność ona daje nam biały napój mleczny—szampan dzieci.

Zdarza się, że matka umiera i osieroca niemowlę—że jest chora i karmić nie może—że pierś jej wysycha w trudzie—że nie staje grosza na wynajem mamki; zresztą biedni nie okradają dzieci biednych.

Wtedy krowa zastępuje dziecku matkę!

Niech was nie uraża ta ordynarna proza, która wyraża wielką prawdę.

Nie lekceważcie krowy!

Pijecie wszyscy jej mleko. Ono służy wam w zdrowiu. Ono nieraz jest dla was napojem leczniczym. Któż—że tak powiem!—nie obliżywał się po maśle, nie

smakował sera wszelkich konsystencji—od śmietankowego do pinczowskiego? Nawet milionerzy lubią... bryndzę. Bywają sery wonne, jak powiew pól; i cuchnące — dla gustów perwersyjnych... A śmietana?!...

Nie!—cofam moje lekkomyślne oskarżenie.

Krowa jest ładna—jest bardzo ładna!...

Jej białe — czarne — kasztanowate łaty jakże zdobią krajobraz! Jak pięknie harmonizują z zielonością łąki. Bez krów polowa pejzażowego malarstwa holenderskiego byłaby skazana na nieistnienie.

Zresztą są rozmaite rasy. To prawda, że garb tybetańskiej wołki razi nieforemnością. Żebu ma pierś opasłą. Podgardle Gajala razi oko. Berneńska krowa posiada wole, jak jej mąż. Buhaj i Lygia — jakie zestawienie! Ale ile jest dumy w małżonce byka holenderskiego! Czyż nie jest piękna krowa podolska? Jak pysznie strzelają w górę olbrzymie rogi rasy węgierskiej! Jak zaokrąglają się rogi naszych krów domowych! Wbrew opinii ogólnej wół jest pojętny, odważny i szybki — niewola czyni go ociężałym. A krowa — jakże jest łagodna! Daje się prowadzić dziecku, choć wie o mocy swoich rogów i kopyt. Przekreślam wszystkie moje oszczerstwa co do krów. To są ogólniki. Należy pamiętać o różnicach ras holenderskiej, flamandzkiej, fryzyskiej, duńskiej, szwajcarskiej, tyrolskiej, styryjskiej i t. d. I o różnicach... indywidualności!...

Zdrada mleka.

Oddałem hołd mleku krów.

To napój życiodajny! Jest to jedyna substancja, którą zawiera wszystkie konieczne części składowe innych pokarmów człowieka — zawiera je w najłatwiejszej do strawienia formie.

Całe bogactwo ludzkiego organizmu może odnawiać się i rosnać mlekiem. Ono mieści w sobie wszystkie cegły, belki, wapno do dźwignięcia pałacu, w którym mieszka dusza człowieka. Mleko staje się krwią, tkankami, kośćmi żywego ciała. Jako mózg — myśli. Jako serce — bije radością i bólem. Jako ręka — błogosławi lub dokonywa mordu. Człowiek mógłby żyć samem mlekiem.

Bo w niem masz wodę — tłuszcz — białko — cukier mleczny — sole mineralne.

Ale...

Tu strącę uśmiech z ust waszych!

Ten nasz przyjaciel niekiedy zdradza.

Pod tą miłą białą maską pierota jawi się śmierć.

Ten „zyciodajny“ napój — zabiera nam tysiące dzieci.

Powie wam medyk, że cały szereg groźnych chorób zakaźnych przenosi się za pośrednictwem mleka.

Na pierwszym planie stoi tu choroba — od której nie masz ratunku — dziecię blednie, usycha, uchodzi w kaszlu od życia. Gruźlicze cierpienie wymion krowich jest darem ukrytym mleka. Dziecię zapada na suchoty.

Gorączka tyfusu i zniszczenie cholery dziecięcej przychodzi nieraz z mlekiem. Na ciału dziecka biją szkarlaty, które kryły się w bieli mleka — szkarlatyna wydziera niemowlę z rąk matki, która zmuszona była karmić je mlekiem krów.

Dziecię lgnie usteczkami do słodczy smoczka — i dostaje dyfterytu lub biegunki krwawej.

Gorzej: pewnego dnia na ciele jego jest stygmat śmierci — karbunkuł. Albo gorzej jeszcze: dziecię, które miało wyrosnąć na człowieka, dostaje choroby bydłowej — nosacziny lub zarazy pysko-racicowej — umiera w szalonych mękach.

Tak do organizmu dzieci lub dojrzałych ludzi przekradają się toksyny i bakterje. Trujące produkty rozkładu — owoc pracy bakterji gnilnych — wraz z mlekiem przedostają się do żołądka i wywołują zaburzenia, podobne do objawów cholery.

Gruźlica u krów sięga nieraz rozmiarów zastraszających. Epizootja tego rodzaju w pewnych okresach porażała w Danii 70% krowiego rodu.

Dr. Trask w r. 1908 zebrał straszliwe dane statystyczne z literatury co do przeniesionych za pośrednictwem mleka surowego 317 epidemij tyfusu brzuszego, 125 epidemij szkarlatyny, 51 spostrzeżeń dyfterytu. W wielu wypadkach do mleka przedostawały się laseczniki Kocha z kału krów.

Według Traska 13% mleka mieszanego zawierało pierwiastki tuberkulozy.

Żniwo śmierci dziecięcej.

Ciekawa statystyka:

W Niemczech na ogólną liczbę zmarłych w roku — $\frac{1}{3}$ stanowi *dziatwa*.

Ze wszystkich dzieci, które otwierają oczy co roku na słońce — $\frac{1}{3}$ zamyka je przed upływem jednego roku.

Francja przez usta oficjalnej statystyki ogłasza przerażającą liczbę trumienek 150000 rocznie. W tej liczbie ostre zapa-

lenie kiszek i żołądka w letnich miesiącach zabiera 60000 dzieci — t. j. 385 na 1000.

W Rosji Europejskiej na 1000 dzieci umiera 240—270 przed ukończeniem I-go roku życia.

A w Warszawie?... Kośba śmierci wśród dzieci do lat 5 wyraża się okropnym stosunkiem — 50% ogólnej liczby zgonów.

* * *

Co wywołuje tę straszną śmiertelność?!

Naturalnie, że ma tu wpływ ogromny wrodzona słabość organizmu — następstwo złych warunków higienicznych, lub braku kultury i t. p.

Ale gdy zważyć, iż — według danych statystyki — ostre zapalenia żołądka i kiszek grasują przeważnie u dzieci sztucznie karmionych lub dokarmianych, to nie można opędzić się od wniosku, że to żniwo śmierci jest poniekąd winą matek, które nie chcą karmić dzieci własną piersią.

Mleka matki nie zastąpi najlepiej wyjąłowane inne mleko — nie zastąpi go mleko maternizowane. Albowiem mleko krowie różni się wybitnie od mleka matki — odmienną ilością tłuszczu i cukru.

„Mleka — pisze dr. Teodor Heryng — nie można uważać za prosty rozczyń substancji odżywczych. Jest ono podobnie, jak krew, *tkanką żywą*, posiadającą rozliczne własności życiowe. Jako produkt matczyngo organizmu, mleko stanowi dla noworodka pewien rodzaj eliksiru życia — posiada też poniekąd znaczenie surowicy leczniczej“.

Trochę chemii i bakterjologii.

Tu — przepraszam was — że wplotę nieco tak zw. nudnych rzeczy. Zresztą niewiele. I może nie całkiem nudnych. W każdym razie niezbędnych dla celu, do którego praca niniejsza zmierza.

Mleko — podobnie jak krew — prócz swoich składników chemicznych i histologicznych, zawiera różne zaczyny i ciała ochronne.

Fermentami, czyli zaczynami, zowią się ciała, związane z białkiem organicznego pochodzenia, które *wzbudzają lub przyspieszają pewne procesy chemiczne, nie ulegając żadnym zmianom*. Otóż ogrzanie mleka powyżej 65—70° niszczy je w krótkim czasie.

Zważcie proszę: mleko — choćby udojone przy zachowaniu najwyższej czystości — skutkiem niezmierniej ilości znajdujących się w niem bakterji i zarodków, już po kilku godzinach ulega ważnym przemianom chemicznym.

Naprzód kwaśniej, ścina się, staje się

niezdatnem do użytku. Później *gnije*, obleka się pleśnią.

Jakiem tedy jest zadanie higieny? Przestrzegać czystości mleka, t. j. prawidłowego składu chemicznego — zwłaszcza zaś: usuwać chorobotwórcze bakterje, które szerzą złośliwe choroby zakaźne.

Mleko jest błogosławionem podłożem dla rozwoju bakteryj. Stosownie do pochodzenia mleka i jego ciepłoty ilość drobnoustrojów w niem waha się w olbrzymich granicach.

Może ona wynosić od kilkunastu tysięcy do 36 milionów w 1 cc. w mleku przyniesionem do domów. W mleku z mleczarni może być od 4—15 milionów — to jeszcze nieźle. Bo w małych sklepikach zdarza się w lecie mleko, gdzie w 1 cc. mieszka tych mikroskopijnych letników do 113 milionów!... To już nie są żarty!

Dokonała się tu imigracja na mleko — z powietrza, z paszy, z nawozu, z brudnych wymion krów i nieczystych rąk dójek. Bakterje chorobotwórcze przybyły z rąk i odzieży osób chorych, „bawiących“ w oborach.

Ale najczęściej — niestety! — zakaża się mleko przez dolewanie nieczystej wody.

Nauka walczy.

Oczywiście nauka zdawna wzięła się za bary z tymi nieznośnymi kolonistami mleka.

Ale niestety! — ciągle jeszcze, jak to mówią, „wylewa brudną wodę wraz z dzieckiem“.

Żadna ze znanych dotąd metod wyjaławiania nie jest w stanie uczynić mleka *zupełnie* jałowem, bez rozkładu zawartych w niem ważnych zaczynów i ciał ochronnych.

Stosowano metody chemiczne — bądź nieskuteczne, bądź wręcz dla zdrowia szkodliwe. Boraks, Salicyl wymagają obróbki mleka przez całą dobę — a w rezultacie psują smak mleka i... nie niszczą do cna laseczników gruźliczych.

Metody, dostarczające surogatów mleka (Gärtnera, Völlmera, Backhauza) przeinaczają jego skład, niszczą fermenty i ciała ochronne. *Mleko pasteryzowane* (75° C) nie zawsze jest wolne od laseczników.

Ba! nawet sterylizacja mleka (100° C!) rozkłada sernik, cukier, tłuszcze (lecycynę), zabija wszystkie fermenty i ciała ochronne — a jednak nie daje gwarancji zupełnego wyjałowienia. Dowodzą tego badania bakterjologiczne przetworów chemicznych, sprzedawanych w Berlinie pod nazwą „mleka sterylizowanego dla niemowląt“. Badania T. Herynga w tancecznym instytutcie

higienicznym, potwierdzone przez prof. Fickera, wykazały w 1 cent. sześć. tego mleka — 51000 bakteryj!

Mleko innej berlińskiej firmy, podawane jako jałowe — zawierało na 1 ct. cub. 12,174,000 bakteryj. Więc nawet najlepsze gatunki mleka przy stosowaniu wszystkich środków ochronnych zawierają jeszcze olbrzymie ilości bakteryj.

Jakie są przyczyny tak ujemnych wyników?

Niedostateczność metod pasteryzacji i sterylizacji, niedostateczna czystość naczyń i butelek w sprzedaży, wreszcie fałszowanie mleka przez przekupniów i t. p.

Faktem jest, że mimo usilnego nadzoru nad sprzedażą, mimo weterynaryjnej i policyjnej opieki, t. zw. mleko dla niemowląt dotąd nie czyni zadość wymaganiom higieny.

Najlepsze ze znanych sterylizatorów Soxleta i Konstanta, dostarczają mleko *względnie jałowe*, gdy się ono przez *pół godziny gotuje*, gdy flaszki są starannie oczyszczone i sterylizowane, gdy ostudzenie następuje szybko i manipulacje te stosowane są szybko po udoju. Ale już przy nieco dłuższem gotowaniu mleko ztraca wartość, utracą fermenty i ciała ochronne, jest *martwym!*

Wynalazek d-ra Herynga.

W tym stanie rzeczy zachodziła konieczna potrzeba szukania nowej metody, która wyjaławiałaby mleko t. j. niszczyła jego elementy chorobotwórcze, a nie niszczyła jego składu i fermentów t. j. zachowywałaby jego wartość życiodawczą.

Żądanie to wziął na swoje barki dr. Teodor Heryng.

W teoretycznych swoich dociekaniach wyszedł on z tej podstawy, stwierdzonej przez obserwację ludzi nauki — że zaczyny mleczne posiadają z natury tę własność, iż znoszą bez rozkładania się ciepłotę 75° C, jeśli nagrzewanie trwa bardzo krótko t. j. 5—10 sekund i jeżeli mleko natychmiast zostaje stosownie oziębione (8—10 C°).

Zbudował on na tej podstawie niezmiernie dowcipny mały przyrząd, *przeznaczony do domowego użytku*, który w najkrótszym czasie wyjaławia 200—250 gram mleka t. j. dawkę dostateczną do jednorazowego nakarmienia dziecka.

Mleko za pomocą pary o temp. 75—80° C. zostaje rozpylone w szklanym cylindrycznym kondensatorze, w którym skrapla się i z którego spływa do odbieralnika, gdzie zostaje natychmiast stosownie oziębione.

Przy stosownej konstrukcyi rozpylaczy

i odpowiednim ciśnieniu pary kropelki mleka są tak małe ($\frac{1}{500}$ — $\frac{1}{800}$ mil.), że doprowadzona do nich ilość ciepła *odkaza je prawie natychmiastowo*, nim mleko zdoła się zebrać w krople większe.

Jeżeli za środek rozpylający i ocieplający służy para wodna, to jako dodatek przy zgęszczeniu mleka przedostaje się pewna ilość wody przekrojonej i wyjąłowanej (10—15%) — co jest niezmiernie ważnym, gdyż mleko tak przysposobione ma służyć za pokarm dla niemowląt, które nie znoszą zbyt wielkiej ilości tłuszczu, zawartego w mleku krowim.*)

Jeżeli zaś chodzi o nierozcieńczanie mleka — mianowicie w wielkich gospodarstwach mlecznych — to miast pary wodnej należałoby użyć przegrzanego i ściśniętego powietrza, oczywiście wprzód wyjąłowanego.

Metoda wyjąłowania mleka d-ra Herynga daje następujące wyborne wyniki:

1) Mleko zachowuje swe własności fizyczne t. j. kolor, zapach, smak i tłuszcz. Stosowny procent wody zmniejsza nieco cukier, odpowiednio dla potrzeb niemowląt. 2) Substancje białkowe i fermenty pozostają niezmienione. 3) Mleko takie przy ciepłocie 10° C nie ścina się i nie kisnie przez 6—8 dni. 4) Przy ciepłocie 4° C zachowywane bez dostępu światła nie kisnie przez dni 10. 5) Stanowi (bez powtóronego przygotowania) najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt. W półlitrowych fiolkach „Thermos“ zachowuje ciepłotę do 14 godzin. 6) Przez rozpylanie się ulega ujednorodnieniu (homogenizacji). 7) Aparat jest niezmiernie prosty w użyciu — daje stałą temp. 70—80° C., nie wymaga kontroli termometru.

Te wyniki sprawdzone zostały w Inst. Hyg. w Berlinie przez prof. Fickera — w Warszawie przez dr. Serkowskiego, Żurakowskiego i Moczulskiego. Dr. Serkowski zakazał mleko surowe lasecznikami gruźlicy, drobnoustrojami tyfusu, ropienia i wyjąłował je, przepuszczając przez aparat d-ra Herynga; badania te dowiodły, że bakterje chorobotwórcze uległy zniszczeniu przy ciepłocie 10° C. niższej, niż przy prostym ogrzaniu mleka. Prof. dr. Ficker przy pomocy tej metody otrzymywał zadziwiająco reduk-

cję z 908.00 kolonii bakterjalnych w jednym C.C. do 80 kolonii, przyczem ani substancje białkowe ani fermenty nie zostały zmienione.

Metoda dr-a Herynga ma tedy na celu:

1) Konserwację mleka od 6—10 dni; 2) homogenizację, ułatwiającą przyswojenie mleka przez młodociany organizm; 3) zapobieganie zakażeniu bądź przez choroby ostre, epidemiczne, jak dyfteryt, szkarlatyna, ostre zapalenie żołądka i kiszek, tyfus, cholera, bądź przez cierpienia w rodzaju tuberkulozy, która dziesiątkuje nasze dzieci*).

Wynalazek dr-a Herynga jest tedy nowym, olbrzymiej wagi krokiem naprzód na drodze walki z przerażającą śmiertelnością wśród dzieci!

Kasa Mianowskiego wobec sprawy śmiertelności dzieci.

Nie nowego pod słońcem!

Oczywiście — jeżeli chodzi nie o wynalazek, ale o postępowanie uczonych gremiów i finansowo-oświatowych instytucyj z wynalazcami i o drogi cierniowe myśli ludzkiej.

Bo wynalazek dr-a H. jest nowością w świecie naukowym. Nie jest tylko nowością, że wynalazca po latach zawilich badań naukowych, które wyprzedzić musiały szczęśliwy pomysł twórczy, po wydaniu z osobistych środków z uszczerbkiem swoim i rodziny znacznych funduszów na próby konstrukcyjne, które wyprzedziły zbudowanie właściwego aparatu — uderzył czołem o żelazną bramę obojętności publicznej.

Bo oto zbudował mały aparat do użytku domowego. Ale taki aparat jest dość kosztowny. Nie daje się on stosować na wielką skalę — np. w przytułkach, gdzie setki dzieci oczekują zdrowego mleka. Odkąd odkrytem zostało, że *mleko stanowi przyczynę nadmiernej śmiertelności dzieci*, odkąd pojawia się *nowa metoda wyjąłowania mleka dla niemowląt bez naruszenia jego fermentów i ciał ochronnych* — musi chodzić o to, aby został pomysłany, stworzony i wypróbowany aparat na wielką skalę, który dawałby nie jedną dawkę pokarmu dla dziecka zamożnej rodziny, ale zwiłokrotnioną dawkę dla potrzeb mnóstwa ubogich maleństw, na które dzisiaj czycha śmierć pod „białym welonem“ mleka*).

Wynalazca, aby mógł iść po tej drodze,

*) Mleko kobyce zawiera 2,29% sernika, 3,78 masła, 6,21 cukru, 0,31 soli, 87,41 wody; mleko krowie zawiera więcej sernika (3,3—5,3) i soli (0,75), a mniej masła (średnio 3,8). Tłuszcz mleka składa się z oleiny, palmityny i stearyny, a w małej ilości także z kaprowiny i butyryny; w mleku kobyce tłuszcz jest płynniejszy, czyli bogatszy w oleinę, aniżeli tłuszcz krowi.

*) Wszystkie powyższe szczegóły czerpiemy z prospektu, rozdawanego na wystawie higienicznej w Warszawie: „Czystość to zdrowie“!

*) Metafory tej pożyczam od tytułu pięknej pantominy Schnitzlera.

potrzebuje poparcia ogółu — ma prawo po tyłu trudach i wyczerpaniu własnych funduszków na cele użyteczności publicznej do pomocy społecznej. Leży to nie w jego interesie. To leży w interesie ludzkości — leży w interesie naszej dziatwy — w interesie nauki polskiej!

Tak rozumował dr. Heryng — i sędzę, że rozumował zupełnie słusznie. A dlatego poważył się zwrócić z prośbą o poparcie jego badań do najodpowiedniejszej w danym wypadku w kraju instytucji — do Kasy Mianowskiego.

Ale... nie nowego pod słońcem!

W swoim czasie Kasa Mianowskiego odmówiła najwybitniejszemu uczonemu polskiemu w dziedzinie geografii, Wacławowi Nałkowskiemu, funduszu na dzieła, które doczekały się uznania społecznego dopiero w dzień śmierci autora „Geografii astronomicznej“ i twórcy nowych poglądów geohistorjograficznych na terytorjum Polski historycznej...

Kto czytał płomienne karty dumnych skarg Nałkowskiego na zimną wyniosłość Kasy Mianowskiego, ten musiał pragnąć z całego serca, aby nowy cień nie zamroził zkadłunad chlubnych dziejów tej instytucji, *której zasług nikt nie odmówi.*

Niestety! niedawno powtórzyła się ta sama kubek w kubek historia z Heryngiem!

Kto tu prosił o pomoc, aby można było odwrócić się doń plecami?

Czy jakiś młodzik, którego wiedza fachowa podlegała wątpliwości? Może grafoman, który marzy o perpetuum mobile? Człowiek bez imienia, którego pomysły należy przyjmować z wielką ostrożnością?

Nie! — to prosił człowiek, który ma już głośne imię w nauce europejskiej — którego dzieła o chorobach krtani tłumaczone są na języki europejskie, jakkolwiek zachodowi nie brak pierwszorzędných uczonych — którego pomysłowość i wiedza fachowa sprawiły, że jego imię jest jednym z niewielu imion lekarskich mówiących zachodowi o współpracy polskiej na niwie medycyny... Prosił o pomoc do dalszych studjów człowiek, którego jubileusz wprawdzie przeszedł u nas w milczeniu, ale odbił się echem zagranicą, ale zyskał dlań hołdowniczy telegram od Akademii Medycznej w Petersburgu. Nie podawał go dr. Heryng do pism, a może mu się serce krajało, gdy myślał o tem, że tu u nas wciąż się krzyczy o potrzebie poparcia naszej nauki, ale wciąż depce się

urodzonych na tej ziemi uczonych...*) A ten człowiek przychodził do Kasy Mianowskiego nie z projektem fantastycznym, lecz już z gotowym aparatem — z wynikami gotowemi, stwierdzonemi przez poważnych badaczy zagranicznych i krajowych (Serkowski!). Przychodził z planem drogi — prosił o pomoc, aby miał siły iść dalej...

Odpowiedziano mu — po zaznajomieniu się z jego pracami teoretycznemi i aparatem (czy ekspertami byli tu specjaliści?) — krótko i wężłowato:

— Żałujemy, ale nie mamy na takie rzeczy pieniędzy!

Nic więcej!

Nie zainteresowano się pomysłami dr-a Herynga — bo dr. Heryng mieszka za blisko. Natomiast daleka Szwecja, na wieść o nich w dziennikach francuzkich i niemieckich, znalazła drogę do Herynga i zaprosiła go do Stockholmu, aby tam wygłosił lekcję o swojej metodzie wyjalawiania mleka. Bo Szwecja rozumie wagę zdrowia dzieci!... I może lekcja Herynga zapłodni umysły uczonych szwedzkich — może ona da asumpt do stworzenia na ziemi szwedzkiej przyrządu, który da zdrowe mleko milionom dzieci! Czy to raz wydzierano palmy pierwszeństwa inicjatorom wynalazku —

*) Nie wiem, czy interpretacja ta jest słuszną. Zastrzegam się także, iż zarzut mój *nie dotyczy prasy fachowej*, która u nas na każdym polu w trudnych warunkach sumiennie spełnia swoje zadania. Tak np. „Gazeta lekarska w Nr 2 z r. 1907 poświęciła dr. Heryngowi z powodu 35-lecia jego pracy zawodowej szkic biograficzny. Wyliczono tu 60 prac dr-a Herynga, wspomniano o uznaniu dla jego metod badania i leczenia chorób krtani w prasie niemieckiej, francuzkiej, włoskiej i t. d. i zakończono artykuł temi słowy: „Dr. Heryng należy do tej względnie szczupłej, wskutek nieszczęśliwego naszego położenia politycznego, liczby uczonych polskich, którzy głośno a chlubnie zaświadczać żywy udział narodu polskiego w walce o wiedzę i prawdę ducha ludzkiego w ogóle i z tego względu szczerą wdzięczność z naszej strony i wysokie uznanie sprawiedliwie mu się należy“.

Godzi się dodać, że Heryng za swoje dzieła otrzymał I nagrodę imienia Helbicha, za przyrząd do prześwietlenia jamy Highmera otrzymał na wystawie w Krakowie medal srebrny, za przyrządy chirurgiczne — dyplom honorowy na wystawie higienicznej w Warszawie. Za przyrządy inhalacyjne — dyplom uznania na wystawie w Krakowie. Jest on członkiem 11 Towarzystw lekarstw (w Warszawie, Krakowie, Wiedniu, Berlinie, Paryżu i t. d.) oraz członkiem honorowym poważnych instytucyj medycznych w Londynie, New-Yorku, Petersburgu i Wilnie.

Dzieło Herynga o „Metodach badania i leczenia chorób krtani“ przełożono na języki niemiecki i rosyjski. Przekłady na francuzki i angielski znajdują się pod prasą.

czy to raz ulepszyli spychali w mrok dawców idei i pierwszych konstruktorów?!

Ale cóż zrobić — skoro Kasa niema pieniędzy!

Cóż z tego, że dr. Heryng przedstawił protokoły doświadczeń na zwierzętach i badań bakterjologicznych, które prowadził przez 4 lata w Berlinie w Instytucie higienicznym pod kierunkiem prof. Fickera — w Kopenhadze w pracowni Instytutu agronomicznego porf. Banga — w Instytucie Pastera — w pracowni prof. Mare — w Warszawie, w laboratorjach dr. Serkowskiego.

Wszakże do marzonych przezeń aparatów, dających 50-100 litrów na godzinę, zbudowanych na podstawie jego aparatu — potrzebne są jakieś termoregulatory, które mogą dużo kosztować! Wszakże marzy on o sterylizacji mleka za pomocą promieni ultrafioletowych, które — jak wykazały badania pp. Nagier, Courmont, Heare, Seiferta i t. d. zdolne są odkazić 500 litrów wody w ciągu godziny; prof. Biernacki przypuszcza, że rozpylacze Herynga mogą ten sam cud sprawić i z mlekiem. Ale koszt tych doświadczeń z powodu potrzeby użycia lamp kwarcowych, elektromotoru, pomp dla otrzymania ciśnienia do 5 atmosfer, może być bardzo znaczny.

Dr. Heryng nie ma na to środków. Ale niema ich i kasa. Niema paru tysięcy rubli — niema nawet kilkuset dla r. Herynga. Ani w charakterze zapomogi, ani w kształcie pożyczki!

Nie ma?

Ba! Kasa Mianowskiego znalazła środki, kiedy szło o przyznanie nagród z 30-tysięcznego zapisu Natansona za pracę o „zeagonicie, nowym produkcie wietrzenia nefelinu“ — i za „karę w najdawniejszym prawie polskim“. Przyznawano zapomogi i pożyczki z wieczystych funduszy na cele ogólne i specjalne, które wyrażają się w bilansie w dobrych tysiącach rubli za „Sztukę rymotwórczą Dmochowskiego“ i za „Florę ziem dawnej Polski“ i za „Kryształy klasy bisfenoidu tetragonalnego“ i za „Pierwszą wycieczkę do Czech“ i za „Chrząszcze polskie“ i za „Kategorje Arystotelesa“.

Nie wątpię, że to wszystko są prace poważne — a już ani na sekundę nie odważam się wątpić, że są to wszystko rzeczy niesłychanej wagi dla społeczeństwa!

Ale Szanowni panowie rządcy z Kasy Mianowskiego! — jeżeli według was wydanie „Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich“ dla garstki zacnych patryotów i dla myszy w piwnicach księgarskich warte było zapomóg: rb. 1063,25 kop.

na ręce p. T. Wierzbowskiego — jeżeli tenże T. Wierzbowski za wydanie *Inwentarza metryki koronnej* otrzymał rb. 1272,85 kop., jeżeli temuż T. Wierzbowskiemu wydaliście za wydawnictwo *Materiałów do dziejów piśmiennictwa polskiego* (rb. 1472 i jeszcze jemu za wydanie „Komisji edukacji narodowej“ rb. 2496,15 kop., jeżeli jeszcze raz tenże Wierzbowski otrzymał od was za wydanie *Sumarjusz ksiąg z czasów Zygmunta Starego* rb. 882,58 kop. Słowem, jeżeli tak doskonale dbać możecie o cześć wydawców dla nieboszczyków — to może zechcielibyście nieco pomyśleć o żywych dzieciach, którym śmierć dzisiaj zagraża...

Sumarjusz ksiąg z czasów Zygmunta Starego — to niewątpliwie rzecz olbrzymiej wagi dla bibliofilów, ale to, że w Warszawie 50% zgonów przypada rocznie na dzieci do lat 5-ciu, że na cmentarzach rosną małe krzyżyki, że małe trumienki wyciskają łzy z oczu polskich matek — to Szanowni panowie z Kasy Mianowskiego nie jest rzeczą bez wagi — wobec przyszłości!

To jest niemożliwe, aby was „Chrząszcze polskie“ miały interesować nadal więcej, niż dzieci polskie — żebyście na *Pisma biskupa Padniewskiego* mieli rb. 50, a na metodę odkazania mleka od laseczników potworogruźlicy nic — aby was „Heksamet“ Mleczki więcej interesował, niż karbunkuł z mleka — aby dla was więcej wagi miało „Uzasadnienie filozofii neosokratycznej“, niż myśl o zmniejszeniu śmiertelności wśród dzieci...

Czyli *Niemożliwem jest to, co — niestety! — jest prawdą...*

A jeżeli już waszą stałą zasadą jest, że pomagacie wszystkiemu, co w piśmiennictwie umiera — to pomyślcie także o dzieciach, które też umierają!... I miejcie litość dla tych mogił, które rosną i zapominają się, chociaż to nie są mogiły zapomnianych poetów, których żadne zapomogi wasze nie wskrzeszą, dopóki społeczność będzie tak chorą i nieszczęśliwą, jak dziś!...

Źródło nafty.

Niedawno pisma doniosły, że otworzyło się dla Kasy Mianowskiego źródło złota...

Panowie! Kawał ziemi na Kaukazie, zapisany wam przez szlachetnego darcę — kawał ziemi, o który nie umieliście dbać, boście nie rozumieli jego gospodarczego znaczenia — zbyty na bylejakich warunkach kompanii Nobla — okazał się tak bogaty w źródła naftowe, że wymówiony przez was skromny procent już sam przez się stanowi bogactwo.

Otrzymałicie niespodziewanie w pierwszym roku eksploatacyi tych źródeł w kształcie procentów przeszło 90000 rubli!..

Jeżeli to jest prawdą—a zdaje się to być prawdą zupełną—to jakkolwiek ustąpiłicie *olbrzymie* korzyści innym, nie przewidując cudownego wypadku—tryśnięcia bogatych źródeł naftowych, to *przecie już dziś nie możecie uskarżać się na brak pieniędzy...*

Słyszałem, że znalazło się wśród członków Zarządu Kasy Mianowskiego kilku takich, którzy przypomnieli teraz o projekcie dra Herynga—poculi lekki wyrzut sumienia—mają zamiar z własnej inicjatywy poprawić *niewątpliwie mimowolny błąd swój* wobec nauki polskiej—wobec matek polskich—wobec narodu—wobec ludzkości...

[LEON CHOROMAŃSKI.

Pani Hould.

(Dokończenie).

Na tych brzegach, gdy słońce zaszło i wieczór się poczynał, mewy zrywały się niechętnie na mój widok i uciekały w głąb morza. Uciekały tak cicho i bez szelestu. Moc małych krewetek skakała po wybrzeżu w różnych kierunkach—również bez głosu i szmeru. Zdawały się objęte frenetyczną żądzą upojenia. Zawodziły jakieś tany radosne, fantastyczne, a głucho milczące. Ach, tam milczało wszystko! Nie było głosu ani w szafirowo-srebrnej rybie, drgającej u brzegu, ani w galaretowatej, szklisto-różowej meduzie, przybitej falą na piach i konającej, ani w ptaku przelatującym, ani w niebie, ani w chmurze, ani we wzgórzach, zapadłych w ciszę grobową. Tylko morze huczało, toczyło się i lkało, rzucało się na brzeg i spadało wysilone w wiekuiste łożysko!

Tam, na tym brzegu tak bardzo samotnym, w obliczu huczących wód i chmur nieraz przerażonych, myślałem o wieczności niepojętej i niedostępnej, o gorzkim przemijaniu człowieka, o piękności dawnej pani Hould, która nie wróci już nigdy, jak zorza pierwszego dnia grzechu i szczęścia. O melancholjo, ileż powodów miałem aby cię karmić! Myślałem o ludziach żyjących jeszcze, lecz już naprawdę przeminionych nazawsze, o obojętności morza i niebios, o dawnych królach, leżących teraz w niemocy sarkofagów, o zawiedzionej sławie i miłości i o strasliwym, rwącym naprzód, miazdzącym serca nasze—Czasie!

Cóż miałem czynić? Jak się wyzwolić z obłędu pragnień nieziszczalnych, jak unieść swe serce poza ogień tęsknoty, dla której w żadnym sercu nie mogłem znaleźć zrozumienia? O, gdybym mógł powierzyć mój smutek komu z ludzi! Lecz nie było nikogo. Sama pani Hould, która może odgadywała nieco—nie chciała dać poznać tego po sobie. Czyż uczucie, które mnie trawiło, nie należało właśnie do tych, które pogrzebać trzeba nazawsze—mileniem?

Pewnej godziny dowiedziałem się, że przyjeżdża córka pani Hould, której nie widziałem dotąd, lecz o której matka wspominała mi niekiedy. Niebo w ów wieczór miało barwę tak pięknie lśniącą i błękitną, a małe białe obłoczki, delikatne i ciche, nadawały mu powab przezystej niewinności. Olbrzymie drzewa stały milczące i uroczyście. Długo słyszałem głuchy pogwar kół, potem rozległ się łagodny dźwięk trąbki forysia, potem parsknęły konie. Z powozu wybiegła młoda wysmukła dziewczyna i rzuciła się w objęcia matki. Ach, odnalazłem w niej nagle przepyszne złote włosy tamtej z miniatURY i blask powiewny oczu i giętką żywość członków tak harmonijnych, że ich proporcje wywołały widzenie jakiejś prawdy wyższej i niedosiężnej! Długo witały się kobiety, a gdy wreszcie pani Hould wyszła z objęć córki—dziwna ciekawość kazała mi odwrócić na chwilę wzrok od uroczej piękności młodej dziewczyny i zatopić oczy w zrenicach pani Hould—spojrzeniem natrętnem i zuchwałem, które wprawiło w zdumienie jej córkę, gdyż wykonała ruch jakby chciała się cofnąć i położyła bezwiednie rękę na sercu. Trwało to część sekundy może, ale przez ten czas zdołałem ujrzeć w głębi oczu pani Hould jakby dźwigający się rozpaczliwie płomień żalu, a milczenie, które potem nastąpiło między nami trojgiem, przekonało mnie, że się nie mylił. Pani Hould wyszła, zostawiając nas samych, a gdy roztwierała niskie drzwi w głębi pokoju, wydało mi się, że wchodzi do grobu.

Dla mnie było to jej wyjście ostatnie, bo odtąd nie kochałem już jej na miniaturze, lecz tę młodą, olśniewającą istotę, w której odnalazłem duszę matki w ciele młodem i upajającym! Mogę twierdzić teraz, gdy lata oddzielają mnie od tych godzin, że kochałem Magdaleny. Od chwili, gdy przyjechała, nie kochałem już Cienia Umarłej, lecz ją samą, żyjącą, z czystą świeżą krwią w żyłach—z włosami, które wolały do mnie jak złoty wschód słońca, z gestami cudnego dziecka i olśniewającej dziewczyny. Ileż czaru i lęku było w jej

ruchach, w tajemniczych przepysznym zwrotach głowy i spojrzeń przy tem! Jak głęboko i żywo lśniły oczy, gdy mówiąc zdawała się mnie badać przepaściami swych zrenic o rzeczy inne, niż te, o które zapytywały jej usta. To łagodną, to okrutną tęsknotą do niej była ma miłość. Straciłem poczucie godzin, bo te, kiedy ją widywałem upojne były i krótkie jak mgnienie oka, a te, kiedy nie było jej przy mnie, nieraz bywały zbyt długie i rozręsknione. Zresztą—ona zawsze była obecna—ze mną, jeśli nie ciałem, to duchem. Jak czarno-księżnik powtarzałem raz po raz zaklęcia, aby w marzeniu ujrzeć Magdalene jak żywą, uczuć dotykalnie jej piękność, być olśnionym, i znowu wywoływać ją i oczyma pochłaniać. Dlaczego? Co obiecywało jej zjawienie? Nie wiem. Było to tajemnicą mego serca, że musiałem ciągle pragnąć widoku Magdaleny i nigdy nie mogłem być nasycony. Otwierała się w mej duszy przepaść głodna — olśniewające pragnienie równie nienasycone jak serce, które nigdy bić nie przestaje, które czuwa wiecznie — i w dzień i w noc! Zdawało mi się, że wszystko, do czego dążyłem kiedykolwiek, wszystkie drogi moich tęsknot i pożądań zbiegły się teraz u tego kresu, którego przekroczyć nie mogę, po za który wyjść mi niepodobna. O Magdaleno, byłaś trudną tajemnicą! Była w tobie urocza świętość, której nie mogłem pokonać.

Czy snułem zamiary na przyszłość? Czy marzyłem o tem, że zostanę mężem Magdaleny? Nie. Nie było w mej miłości nic praktycznego, ani przewidującego. Chciałem patrzeć i żyć chwilą, która mnie upajała. Oto wszystko. Terazniejszość była zbyt olśniewająca, abym myślał ścigał dzień jutrzejszy. Doczekałem bowiem tych godzin, które artysta w większej ma czci, niż lata oczekiwań.

Jaką była Magdalena dla mnie? Jak słońce rozlewa ciepło i światło, tak ona zlewała na mnie swą dobroć niewyczerpaną. Lecz gdy wszystkie moje myśli i tęsknoty skupiły się i stały nad nią, jak gwiazdy nad morzem, ona miała tęsknotę swą umieszczoną gdzieś wyżej i nad niejednym słowem mojem lub westchnieniem przechodziła z łagodnym uśmiechem. Magdalena pokonywała mnie nie słowami, z którymi można walczyć i zwyciężać, lecz milczeniem, pewnymi chwilami swego życia w milczeniu, które ukazywały mi ją nagle na wysokościach niedosiężnych. Czy mam wyznać to, co dziś pali mnie wstydem? Magdalena traktowała mnie nieraz pobłaźliwie, z wyższością przyrodzoną istoty, którą głę-

biej pokochały rozparte nad nami niebiosa. Może widziała we mnie porywczosć i błędzenie dziecka? Może czuła, że nie przyszedł czas i wiele rzeczy wypadnie mi jeszcze przeżyć, zanim taka, jak ona, kobieta zechce wyjść ze swej samotni i oddać mi całą siebie. Dość, że ja oddawałem jej wszystko, ona zachowywała dla siebie część swej duszy, do której nie dała mi dostępu.

Ta wyższa istota nie zwierzała się nigdy ze swych przeżyć najgłębszych. Być może miała jedną tajemnicę, ale jakże złowrogą, skoro ta zmusiła ją w kwiecie młodości, w uroczym rozkwicie piękna wzgardzić dalszemi dniami tryumfów, słońcem dnia i kwiatami nocy, moją miłością, rozpaczą matki i przenieść zimną czelusę grobu nad życie na ziemi.

Pewnego straszliwego poranku znaleziono ją martwą w łóżku. Szklanka z niedopitą trucizną zaświadczyła, że jej tęsknota była zaprawdę głębszą, niż myślałem, że była śmiertelna. A więc wróciła ze świata do domu, aby tu umrzeć? Odeszła w milczeniu—na zawsze! Nie zostawiła nam małego listu, z którego moglibyśmy odgadnąć część prawdy, którą zabrała z sobą do grobu. Jeżeli listy wszystkich samobójców i samobójczyń krótkie są i lakoniczne i mimo swej treści nieraz czulej tchną cichą wzgardą dla ludzi, którzy chcą żyć, jeżeli człowiek blizki śmierci czuje głębiej swą samotność, jeżeli już przed krokiem fatalnym zalega w nim milczenie chaosu, do którego za chwilę ma powrócić, to Magdalena nie napisała ani słowa zgodnie z swą naturą dumną i robiącą to tylko, co ma sens rzeczywisty, nie zaś pozór sensu. Zważyła ona na szali swego postanowienia tę prawdę, że istota ludzka w tem, co tragiczne, przez inną zrozumianą być nie może i nie chciała karmić nas okruciami pociechy. Zapragnęła, abyśmy fakt jej śmierci przemyśleli w całej jego tajemniczej grozie i piękności. Czyż sytuacje, przez które przeszła, nim dobiegła kresu swej drogi ziemskiej, mogłyby nam dać odczuć naturę i charakter oraz głębokość jej wizyj i przeżyć? Z okoliczności, w jakich żyła—a które mogły być zwyczajne nazewnątrż i spokojne, dusza jej umiała stworzyć własne piekło, które ją pochłonięło. Ach, ona czuła, że słowa nie nie wytłumaczają duszy—jedynej po przez wszystkie wieki wieków!

Tak myślę teraz, lecz wówczas zapadłem w osłupienie. Świat i dzień otoczyła mgła nieprzejrzana, w której nic nie widziałem. Czasem rozdzierała się ta mgła i wtedy stawało blisko mnie, jak zwierzę okrutne z palającymi oczyma, poczucie nieszczęścia

wiekuistego. Dotąd nie umiem powiedzieć, czy rozpaczła pani Hould. Zdaje mi się, że w domu i wówczas było pełno gości i że natychmiast, jakby owiani zimnym tchem śmierci, rozjechali się wszyscy. Siedziałem w odrętwieniu, nie zmieniając postawy, powtarzając martwiącemi usty:

Magdalena umarła!

Pewnej nocy—była to pierwsza albo druga noc od śmierci Magdaleny — poszedłem jej szukać. Długo chodziłem po korytarzach, pukałem do jej sypialni. Przyłożyłem ucho do drzwi, lecz nikt nie odpowiadał. Błądziłem w świetle księżycowym, marząc o jasnych włosach Magdaleny i jej oczach, które w zdumieniu rozwierały się tak głęboko i złościście. Nareszcie znalazłem mały pokój nisko sklepiony, gdzie ją postawiono w trumnie wśród złotych świec.

Zdawało mi się, że ona śpi, że śpi na wieki. Pomimo to żyje jednak i usłyszy mnie. Wpatrywałem się długo w jej twarz nieruchomą, w jej usta cicho złożone. Nareszcie zacząłem mówić. Oto słowa z tej godziny, które spamiętałem:

„Kochałem cię, Magdaleno. Nigdy nie całowałem twych ust ani twej ręki. Byłaś mi świętą. Czciłem cię. Wzgardziłaś mną. Odeszłaś nazawsze—bez ostrzeżenia! Trzeba ci było poczekać jeszcze. Moje serce mogłoby ci nakazać jutro, abys została ze mną. Ale ty nie słuchałaś serca. Zraniłaś mnie, Magdaleno, twoją śmiercią okrutną. Wieczną mi w piersi zasiałaś tęsknotę. Podeszłaś mnie. Nie wysłuchałaś a potępiłaś...”

O moja droga Magdaleno, ocknij się! Wstań ty do mnie! Wspomnij nasze spotkanie ostatnie: ja je noszę teraz w pamięci nazawsze! Siedziałem, moja droga, myśląc o tobie w pokoju, gdzie meble lekko przykurzone, podłoga skrzypi, gdy się poruszyć, a zwierciadło, w którym się oglądałem, patrzyło na mnie zdziwione. Pamiętasz, Magdaleno, małe obrazki owalne, zczerniałe nieco? Na jednym złote pszczoły obsiadły błękitną suknię księżniczki, na innym — wąż zwisa w dół głową — nad kolanami śpiącej dziewczyny. Promień słońca zaigrał wtedy na kryształach przy lampie. Nikła tęcza zalsniła i zgasła. Zrobiło się ciemniej w pokoju, jakby dech cięższy przewiał. Na cichych złotawych skrzydłach przefrunął mól. I ukazałaś się Ty, a ja uczułem zdala na ustach jakby twój pocałunek cichy, gorący, święty... A teraz ja żyć będę, a usta twe zezną robaki. Ach, powiedz mi, Magdaleno, powiedz, czemuś umarła?!”

Potem zapasć musiałem w osłupienie, które odbierało mi przytomność, a gdym się ocknął, spojrziałem na trumnę. Była

pusta. Gdzież jest Magdalena? Ach, tak! To ja bezwiednie dzwignąłem ją z grobu, to ja trzymałem ją wówczas w objęciach, siedząc na czerwonej jak krew kanapie, która stała w tym pokoju Śmierci, to ja obejmowałem ją, jak żywą kochankę, tuliłem i całowałem w zimne usta, to ja szepotałem w uniesieniu, płakałem i błagałem, aby ożyła, by rzekła słowo, by powiedziała mi nareszcie, czemu umarła!

I gdym tak — pełen niewysłowionego obłędu i dzikiego, rżącego szczęścia pieścił umarłą w blasku świec złotych i milczeniu nocy, otworzyły się zwolna małe ciężkie drzwi i stara zgarbiona kobieta, przywalona ciężarem, który ją zginał we dwoje, ukazała się na progu. Nigdy nie zapomnę nieludzkiego krzyku, który się wydarł z jej ust bladych i zwiędłych, rozdzierając ciszę i mrok. Gdy zgasł — wydało mi się, że wszystko naokół—pokój i dwór za oknami, zalany światłem księżycowym—załkało boleśnie i umilkło przerażone. I wśród tej ciszy rozległ się suchy loskot ciała starej kobiety, padającej na posadzkę kamienną.

Siedziałem struchlały, z roztwartą kurchowo gębą i rękoma, które opadły bezwładnie z szyi umarłej. I dopiero wówczas w leżącej nieruchomo kobiecie poznałem panią Hould, postarzałą nagle, w ciągu tych kilku dni, o lat pięćdziesiąt, zdruzgotaną nieszczęściem, głęboko zgrzybiałą, tragicznie zeschniętą i bezsilną. Poznałem panią Hould, która przeżyła raz śmierć swej piękności, a potem — po raz wtóry *tę samą* śmierć w śmierci Magdaleny, a która wreszcie na widok mej oszalałej miłości i pieszczoty — umarła!

„GODY ŻYCIA“

czyli

Tryumf pani Przybyłko.

1.

W życiu autora „Godów życia“ — (można mówić o tem, co stało się zdawna sekretem publicznym) — pokrzyżowało się tyle linii tragiczno-erotycznych, że jego uszy, mózg i serce napełniły się mnóstwem krzyków blizkich i własnych:

„Moje dziecko!“... Chcę je widzieć!“... „Widziałeś dziecko?“... „Kocham ciebie!“... „Kochaj!“... „Zapomnij!“... „Nigdy!“... „Opuszczałaś!“... „On nie pozwala zobaczyć dziecka!“... „Dzieci!“... „Bez dziecka!“... „Oddajcie mi dziecko!“... „Daj usta!“... Ty!... On!... Ona!... Dziecko!“ i t. d. i t. d.

Dusza Przybyszewskiego stała się rozpalonym do czerwoności kotłem takich krzyków.

I te krzyki wołały do poety, aby im dał życie w poezji, aby je upamiętnił piórem dramaturga. A wtedy Przybyszewski postąpił w gorączce natchnienia tak, jak potrafił, jak postępował zawsze, gdy chciał stworzyć dramat: wziął worki z mgły, porozrzucał owe krzyczące głosy do nich — tam jedne, ówdzie inne, gdzieniegdzie kopje tych i owych w szalonym bezładzie — nazwał je imionami i zdawało mu się, że ze stworzył dramat.

Dlaczegożby nie miał prawa mylić się on — ojciec dzieła, — kiedy uwierzyła w to elegancka publiczność, kiedy tego samego zdania jest elita naszej krytyki...

Zkąd to złudzenie twórcy, publiczności i krytyki?

Przedewszystkiem ztąd, że w utworze Przybyszewskiego jest olbrzymia prawda krzyku, który autor słyszał, który nosił w duszy, który odbił z wielką prostotą i szczerością.

Powtórę jest to wynik przedziwnie pięknej gry pani Przybyłko.

W dramacie Przybyszewskiego — niema do grania nic i jest do zagrania wszystko.

Dajcie te role przeciętnym artystom i obaczycie, że nie zrobią nic — będą bladzi lub śmieszni. Niema tutaj żadnego kunsztu literackiego — ani myśli głębszej, ani charakteru indywidualnego — nic z wyrazistości Szekspira, Szyllera, Goethego, Hauptmana, Ibsena!... Co można zrobić z krzykiem, który nie jest pięknem? Powiadacie, że nie uczynił nic Janusz, że niemal nic nie uczynili Wostrowski i Brydziński, że bez silniejszego wrażenia dla was przeszły po scenie Mirska i Weryho. Mylicie się — autor nie dał im ról. Co może uczynić kochanek z krzykiem: „Hanka!“

Ale czy ma rolę główną postać — sama Hanka? Jest tu również tylko sto razy powtórzone: „Dziecko!“... „Widziałeś moje dziecko!“... „Chcę widzieć moje dziecko!“... Nie ma nic do grania — jeżeli chodzi o wymowę poety, o ideę myśliciela.

I jest do grania — wszystko!.. Jest ogromne pole, na którym wielki talent aktorski może stworzyć wszystko. Otrzymał okrzyk, a po za tem nie jest skrępowany wolą autorską.

Dajcie więc temu krzykowi kochanki — matki, która porzuciła dom męża i tęskni do szalu za dzieckiem — ogromne, inteligentne oczy pani Przybyłko, dajcie mu jej szlachetną postać, jej pięknie obciążającą krągłe ramiona szatę — dajcie mu jej ciepło

cielesne — dajcie ręce, chwytające drżąc poręcz krzesła, i palce, wpijające się w lica — dajcie drgające wargi i stłumiony wzruszeniem głos — dajcie dumę nagle podnoszącą się głowy lub hańbę chylącą się szyi — dajcie rozpacz rzutu ku przepaści — dajcie cały arsenał bogatej mimiki i gestykulacji wielkiej artystki, pani Przybyłko, — a wyda się wam, że Przybyszewski stworzył arcydzieło!..

Ale wsłuchajcie się dobrze w słowa — przekonacie się, że to złudzenie. Przypomnijcie, jak mówi zazdrość Otella, miłość Julii, gniew Leara — w dziełach Szekspira, jak przemawia poświęcenie Lilli Wenedy, wściekłość Wojewody, boleść Amelii i Zbi-gniewa — w utworach Słowackiego, jak odzywa się żalność syna oślepiętego Melch-tala, bohaterstwo Joanny, szal Elżbiety i pokora Maryi Stuart — w dramatach Szyllera, jak myśli Faust, jak kocha Małgorzata, jak dowodzi Ifigenia — w pismach Goethego — obaczycie zaraz przepaść pomiędzy bogactwem poezji i ubóstwem krzyku.

Powiecie: „stara szkoła?“ — Weźcie „Samotnych“, „Dzwon zatopiony“, „Kramera“ Hauptmana — weźcie „Branda“ lub „Solnesa“ Ibsena — i obaczcie, ile tu zdań można zanotować w pamięci, ile rzeczy warto powtórzyć — i weźcie ołówki, aby notować myśli Przybyszewskiego: czy powtarzać będziecie krzyki: „Hanka!“, „Janota!“.

Będziecie — ż notowali te zdania:

„Porodziłam dziecko moje w bólach — wykarmiłam je — wychowałam — chcę je widzieć“. Ależ to trafaret. To powie każda matka. Tego Przybyszewski nie wymyślił. I tak sformułuje te rzeczy nawet poczynający autor.

Potrzeba cudownego załamania rąk Przybyłko — przerywanego jej tchu — jej falującej piersi — prawdy krzyku, rwącego się z serca wielkiej artystki, aby nas temi prostemi słowy tak wzruszyć!... I trzeba współdziałania serc słuchaczy dla tego prostego dramatu — trzeba matek, kochających dzieci, na widowni — wyobraźni, która na krzyk artystki, oddala je nagle od ramion matecznych i widzi daleko — trzeba erotyzmu męskiego słuchaczy na myśl o zdobyciu miłości kobiety zameżnej, uciekającej od pieszczoty kochanka do tęsknicy za dzieckiem...

Cóż dał więc Przybyszewski?.. On dał tylko jedną strunę. Paganini na jednej strunie wygrywał arcydzieła — to samo uczynił talent wirtuozki — Przybyłko. Przeprowadzającym świetnie dźwięki rezonatorem skrzypiec była publiczność.

Ale powiecie mi: czy wielkość Przybyszewskiego nie polega na tem, iż ukrył on

swój rozległy talent liryczny i bogaty kunszt stylowy, które świetnym blaskiem zajaśniały w „Godzinie Cudu” — najlepszym jego dziele — i jakby w myśl Tolstoja, iż „nie masz wielkości bez prostoty” dał dramat wielki, bo prosty. Odbił szczerze prosty głos życia...

Nie! — „Pan Tadeusz” jest prosty, a jednak stoi na wyżynie sztuki poetyckiej. Kunsztowną prostotą jest Małgosia Goethego. Prości ale artystyczni są „Chłopi” Reymonta. Artystyczną prostotą tchną „Tka-cze” Hauptmana.

W „Godach życia” jest prostactwo krzyku na tle krzywizn psychologii i sztuczności fabuły...

Sztuka nie bywa prostą kopią krzyku życia. Zresztą życie w natężeniu wielkiego bólu nieraz zdobywa się na wielkie poetyckie piękno, którego żaden poeta nie zdoła wymyśleć. (Przypomnijcie piękną prostotę, która uderza potęgą wyrazu z słów hrabiny Ronikierowej: „On był tak dobry względem mnie, że ja nie mam prawa pomyśleć, iż on jest zloczyńcą”. (Por. № 143 „Wolnego Słowa” *). Wielki obserwator życia, który jest zarazem wielkim poetą — wybiera z rzeczywistości to, co godne jest nieśmiertelnego życia w poezji. Takich złotych słów, które stanowią wspólną dziedzicę życia i poezji, w dramacie Przybyszewskiego jest mikroskopijnie mało...

* * *

To nie jest wcale dramat.

Spróbujcie napisać pół strony charakterystyki o którejkolwiek z tych postaci — a zaraz przekonacie się o ubóstwie rysów psychologicznych — o ich jednostronności najczęściej erotycznej — z dodatkiem tu instynktu macierzyńskiego, tam zapewnienia o jakimś talencie lub zawodzie artystycznym. I przypomnijcie dla zestawienia bogate charakterystyki „Ludwika” Delavigne’a lub „Fryderyka” Nowaczyńskiego albo tomy, pisane o „Hamlecie”.

Mówicie o talencie dramatycznym? Wymaga on zręczności technicznej. Nie masz jej tu. Jeden akt III pomyślany i napisany wybornie — co ocala honor autorski, ale nie ocala dzieła. Powiadam: „napisany wybornie” — jeżeli nie zwiódła mnie wyborna gra pp. Przybyłko i Barszczewskiej w tym akcie.

*) Życie zdobywa się na wielkie pomysły, którym psycholog — artysta pozazdrościć może. Np. spytałem kiedyś więźnia politycznego, którego przyjaciele po roku więzienia czcili świetnym obiadem, muzyką, kwiatami: „Co Panu sprawia największą przyjemność?... Wskazał drzwi salonu z szerokim uśmiechem radości i rzekł: „To, że drzwi są otwarte!..”

W każdym razie tylko rozmowa dwóch siostr drga pełnią życia — jest prawdziwa, prosta i artystyczna zarazem...

Mówicie o idei tej sztuki... Ach! — nie chciałbym rozczarowywać „Wacia” Grubińskiego — ale tylko dzieciom wydawać się może, że sztuka Przybyszewskiego ma jakąś ideę!... Dowiodę tego w zakończeniu pracy niniejszej, gdzie zatrzymam się na prawnoetycznym zagadnieniu *stosunku matki do opuszczonego dziecka*, około którego Przybyszewski się prześlizgnął... *).

2.

Uboga treść sztuki rozwodnioną została na cztery akty. Ba! rekapitulowaną została ze sporego i wodnistego tomu powieści tegoż autora na ten-że temat: „Zmierzch życia”.

Oto ta odrobina treści: Hanka porzuca męża i dziecko — ulegając potężnemu nakazowi miłości — idzie w świat za kochankiem — lecz nie może zapomnieć dziecka — pod wpływem dawnego przyjaciela domu męzowskiego, Orlicza, który ożywił jej wspomnienia, zrywa się, pełna tęsknoty — jedzie do Zakopanego — spotyka się z mężem, błaga go o pozwolenie zobaczenia dziecka — natrafia na twardą odmowę obrażonego męża — po widzeniu się z dzieckiem, które jej nie poznało, zrozpaczona omdlewa — w tym stanie porywa ją w objęcia czuwający nad nią i czyhający na nią muzyk Janota, gwałci ją — nieszczęśliwa kobieta, przygnieciona uczuciem hańby ucieka w góry i rzuca się w przepaść.

Oto wszystko! To prawda, że geniusz z najprostszego wątku stworzył arcydzieło. Ale nie może tego uczynić sposobami Przybyszewskiego.

Jakże bladym jest akt pierwszy: nikły spór Janoty z narzeczoną — kilka wyrazów kokietującego współczucia Janoty pod adresem Hanki — opowieść przyjaciółki po za akcją sztuki, rekapitulująca tęsknotę matki za dzieckiem z innym zakończeniem romanisu: powrotem do męża niekochanego i dziecka — wreszcie scena pomiędzy Wacławem i Hanką na jeden wydłużony motyw: „kochaj mnie tak, by zapomnieć dziecko!” i „kocham cię, ale dziecka nie zapomnę”. Oto wszystko!

Tej bladeści towarzyszy niezręczność pseudo-dramaturga. Jest tu szereg scen niepowiązanych, luźnych. Narzeczoną wymyka się, bo „jest dobrze wychowana”. Muzyk wysuwa się, bo już powiedział

*) Po części dowiodł już tego w „Woln. Słowie p. J. Huzarski (por. Nr 112).

wszystko o Schumanie, co umiał: że „w jego muzyce jest tęsknota za dzieckiem“. Przyjaciółka wypowiedziała się Hance, jako swojej najlepszej powiernicy, aby zaraz zauważyć, że „Hanka zajęta jest ciągle swojemi myślami“. Orlicz, który przyjechał do Wacława Drwęskiego (nazwisko, które trzeba parskać!), przechodzi tylko przez scenę, aby się umyć za kulisami..

Lecz już szczytem niezręczności jest akt drugi. Tło stanowi bal, którego nie widać. Przez scenę przechodzą goście-manekiny, których zdaniem jest podziwiać zakulisową muzykę Janoty i dla tryumfu łatwej ironii Przybyszewskiego wieszować narzeczonej, która dopiero co zerwała z muzykiem. Nic więcej! Bo autor nie widzi gości—więc nie nadaje im twarzy. Rzuci on na tło balu dwie tylko sceny tego aktu, obie jednakowo zbyteczne, obie na tem tle nieprawdziwe. Narzeczeni na balu zostają zbyt długo sam na sam; po to, aby się pokłócić. Gospodyni opuszcza gości nazbyt długo, by się wygadać z Orliczem. Po co tamto zerwanie? Czy Janota, nie zerwawszy z narzeczoną, nie mógłby pojechać za Hanką? Więc po to, aby narzeczonea wymówkami swemi powiadomiła nas, że Janota jest św... a? O tem wszakże opowie nam jego zakulisowy czyn między trzecim i czwartym aktem.

I po co rozmowa Hanksi z Orliczem? Gdybyż to on dopiero obudził wyrzuty sumienia i tęsknotę w matce?! Ale nie! — toć ona tęskni już w I akcie—tęskniła zawsze. Cały przyjazd Orlicza jest tedy zbytekiem w dramacie. Po co Orlicz przyjechał? Aby napomknąć, że Hankę kochał?... I aby napomknąć zarazem, że kochał jej przyjaciółkę?... Aby dać zrozumieć, że wyjechał, bo Hanka pokochała Wacława? I aby zapewnić, że wyjechał, bo bał się, że jego kochanka zawsze tęsknić będzie za dzieckiem?... Aby mówić półsłówkami o miłości dla Hanksi i równocześnie znęcać się nad nią po inkwizytorsku?... Aby być cudzem sumieniem—bez sumienia!... Aby wytłomaczyć, że chciał rozwiązać oczyma zadanie: czy może matka zapomnieć o dziecku dla kochanka... To matematyka — nie psychologia! Matematyka kiepska, bo to nieprawda, że *wszystkie* matki nie zapominają dzieci w uściskach miłośników. I to nieprawda, że wszyscy ojcowie dzieci nielegalnych są tak obojętni, jak Orlicz!... Ostatecznie przyjechał, aby powiedzieć, że „nie wie“ dlaczego odjechał ongi i czemu teraz powrócił. I to przyznanie Przybyszewskiego jest nader cennem: *Przybyszewski nie jest psychologiem*, więc jego bohaterowie mogą

mówić wszystko, co im ślina przyniesie na język. A to nasza krytyka nazywa „świetnym djalogiem!“

Prawda! w tym akcie jest jeszcze błyskawiczna scena nieporozumienia pomiędzy Orliczem i byłą jego kochanką—rezonerska i równie zbyteczna dla akcji.

Najlepszym z wszystkich aktów—jedyną wartością tej sztuki — jest akt III. Ale i tu ledwie dwa odruchy—(które autor nie tyle zawdzięcza swojej psychologii, ile rozlewności swego gadulstwa we wszystkich kierunkach) — zbawiają dwie sceny, dwie charakterystyki od karykatury. Jest to drgnienie siostrzanego serca, które ocala od przesady oschłość i ciasnotę siostry Hanksi w rozprawach o upadku tej ostatniej: zresztą prawdę z tej roli dobywa talent o mocnych konturach—p. Barszczewska. I jest tu drgnienie miłości mężowskiej w krzyku „Hanka!“, ocalające przesadę twardości portretu męża. Ale ten akt, w którym pani Przybyłko ma pole do popisu—jest bądź co bądź piękny i zajmujący. Nawet zaczajona żądza troskliwości Janoty o Hankę jest pomyślana ciekawie i czułość piastunki dziecka Hanksi posiada barwy prawdy. Bądź co bądź ten akt daje tyle materiału do gry, że... usprawiedliwia wystawienie dramatu na scenie.

Gdyby nie ostatni akt — czwarty! Ten już wkracza w dziedzinę śmieszności i niesmaku. Tu cała blaga dramatyczna Przybyszewskiego wychodzi na jaw—całe tanie efekciarstwo gry na nerwach niewybrednych! Mniejsza o wydłużony monotony bełkot staruchy o „żywem źródle“, ocalony od śmieszności przez wyborną charakterystykę Bogusławskiej. Ale tu właśnie wychodzi na jaw, po rozplnięciu się w mgłę I i II aktu rozdąsanej narzeczonej, której brak krwi życia, mimo opowiadań, że kocha Janotę, i Orlicza, który jest łataniną kilku psychologii—że reszta postaci to marjonetki lub karykatury.

Ba! subtelny widz może już dostrzegł, że na granicy karykatury stoją trzy postaci III aktu: i ta piastunka, która tyle zawdzięcza swojej ukochanej pani, ale nie zmiększy się jej prośbami i nie pokaże jej nawet ukradkiem dziecka — i ta siostra, która jest wzorem zaściankowej ciasnoty wobec cierpiącej — i ten mąż, głuchy jak skała, na krzyk rozpaczy kobiety, którą kochał i od której ma ukochane dziecko — trzy postaci z melodramatu.

Ale wątpliwość co do tego, czy Przybyszewski jest karykaturzystą, znika całkowicie, gdy się widzi w 4-ym akcie Brydzińskiego, który przy całej swojej subtel-

ności, dobywanej w aktach poprzednich, nie wie, co ma począć ze swoją rolą—Janoty.

Gdyby nasza krytyka zachowała odwagę zdrowego poczucia etycznego—z pod piór jej wydobyłyby się okrzyk wstrętu wobec postaci Janoty.

Chuligan-pogromowiec może gwałcić zemdlone kobiety. Ale nie wierzę, aby w człowieku o wyższej inteligencji zakipiała bydlęca żądza wobec mdlejącej, bezsilnej, niedźnej, przytłoczonej okrucieństwem męża i bólem odepchniętej matki-kobiecie. *Żądza człowieka o byle subtelniejszym poczuciu musiałaby umilknąć wobec cierpienia Niobe. Fizjologia i psychologia zaprotestowałyby! Przybyszewski spotwarzył mężczyznę — dla uciśnionego przerażenia szwaczek!...* Ja nie mówię o mężczyznach-chuliganach. Ale—słuchajcie!—ten Janota jest wytwornym muzykiem! Kiedy gra Schumana—to „łzy kapią z oczu nieszczęśliwych matek!“ Człowiek, który gra z taką prawdą — nie może grać komedyi człowieka, będąc bydłem. *To jest okropna potwarz artysty na artystów — którą tłumaczy tylko wieczny brak smaku w Przybyszewskim! Usprawiedliwia go jedno: on jest i był zawsze tylko genialnym lirykiem potrzaskanej modernistycznie psychologii współczesnej—nie był nigdy dramaturgiem!* Gdyby on miał oczy widzące — gdyby wyobraził sobie, co i jak uczynił Janota, cofnąłby się przed własnym pomysłem!...

Zrozumiałby, że kłamię obrzydliwie—że to jest niemożliwe, żeby ten gwałciiciel jeszcze miał odwagę wlec się w góry za swoją ofiarą — żeby jeszcze miał czelność mówić jej: „Pani jesteś czystą wobec mnie i ludzkości“—żeby ona będąc kobietą żywą, a nie marjonetką, mogła słuchać jego świadectw o swojej czystości—żeby nie uciekł, ani palnął sobie w łeb—żeby miał odwagę telegrafować po jej kochanku i wyczekiwać go — żeby nie lękał się, iż ona go oskarży przed nim — żeby ona zawstydziła się jego podłości—żeby Wacław, przybywszy do chorej, nie szedł ku niej do chaty, ale zabawiał się rozmową z maskującym się zbyt dobrze uwodzicielem... Ale Przybyszewski wbrew psychologii zostawi osobę na scenie, aby zrobić dialog, tak jak usunie Wacława po muła, aby dać naszym nerwom widok rzucającej się w przepaść!..

To wszystko jest grubą, sztuczną, wstrętną robotą! Tak jest! Choćby młodziutki krytyk — którego usprawiedliwia młodzieńcza wrażliwość—p. Wacław Grubiński jeszcze sto razy wam napisał: „Przybyszewski — to mistrz sceny..“ I dodał z miłą naiwno-

cią w „Porannym“: „Akt III ściska ramię za gardło i... może nawet przyprawić o spazmy“.

A propos: na autora *wybornej* — pomimo kręcenia nosami kilku krytyków, nie znoszących w farsie ani grana głębszej myśli — holenderskiej tragifarsy „Wielki Nieboszczyk“, w której tytułową rolę przeprowadza w „Małym Teatrze“ p. Grabowski, jak pierwszorzędnego aktor! — p. Grubiński pogniewał się niedawno, że „autor wali po głowie młotem satyry“. Dlaczego nasz utalentowany nowelista nie znosi „walenia po głowie młotem satyry“, ale lubi „ściskanie rękami gardła, które może (!) przyprawić o spazmy“ — nie mogłem dociec i muszę o to rozpytać Grubińskiego przy pierwszym naszym widzeniu.

d. n.

Z powodu „Cyganerji Warszawskiej“, Nowaczyńskiego.

Oto na stos książek, czekających z pragnieniem w „Wolnem Słowie“, a patrzących w moje sumienie pisarskie oczyma słusznego wyrzutu, żem im dotąd nie zdążył poświęcić uwagi—pada nowa książka.

Jest to sztuka „Cyganerja Warszawska“, która już święciła tryumfy w Krakowie i zapewne przed wyjściem bieżącego numeru odbędzie wjazd tryumfalny na deski naszego teatru.

Więc znowu dzieło Adolfa Nowaczyńskiego. Znalazł czas, aby je napisać, gdy ją odciągany tyłu walkami, jeszcze nie zdążyłem w „Wolnem Słowie“ dać analizy „Fryderyka Wielkiego“, „Boga Wojny“, „Samozwańca“, a o „Smoczem gnieździe“ pisałem już bardzo dawno w „Wędrowcu“.

Ten pośpiech twórczy zdumiewa mnie właśnie u Nowaczyńskiego. Boć oczywiście można być nawet płodniejszym, jeśli stwarza się sztuki z perkalu frazeologicznego, leżącego w każdym rogu ulicy literackiej. Ale kto zna benedyktyńskie prace autora „Fryderyka“, kto rozumie ile namolić się on musi w sumiennym doboraniu rysów psychologicznych z archiwów starych dzieł, kto wie, że utwory Nowaczyńskiego, acz nie uderzają fantazją fabuły i zręcznością techniki scenicznej, posiadają kosztowną wartość kunsztu stylowego i mistrzowskiej charakterystyki, są niby tkane żmudną pilnością wzorzyste dywany perskie, lub układane pracowicie mozaikowe ściany pałaców pompejańskich,—ten przy-

zna, że Nowaczyński tworzy zadziwiająco prędko.

I pisać o nim warto. Zaprawdę niema w Polsce pisarza, który okazałby równą moc indywidualności w swoich młodocianych utworach. Jeżeli „styl—to człowiek“, według orzeczenia Saint-Beuva, to już w opisie café chantanu, wyszłym ongi z pod tego pióra, pomimo wewnętrznej pustki tego cacka z punktu widzenia treści, tendencji, idei, —ze względu na bogaty barok jego stylu można było zgadywać, że w autorze tkwi embrjon wielkiego męża literatury.

Szalona śmiałość akrobatycznych skoków w „Figlach sowizdrzalskich“, fajerwerki do wciup i rozdokazywanie barwnego słowa, skala leksykologiczna od archaicznych kolorów starego gobelinu polskiego, aż do świetnych barw zuchwałych neologizmów — wszystko to zdradzało wprawmemu oku, że młody pisarz, który tak potrafi stylizować, musi nosić znamię geniuszu na czole!

Mógł to być geniusz wężki — językowy i figlarski, mogło to przeładowane kwietne corso staro-szlacheckich landar sześciokonnych i modnych na bruku angielskim dwukółek, zaprzężonych w ponny, nadawać się wybornie do karykatury, którą ja też z powodzeniem — jak przyznał sam karykaturowany — uprawiałem w „Czarnym kocie“, ale to był jednak geniusz! Drażniły oko moje pokrzywy, rosnące w tym dziewiczym lesie słowa — niesmaczne i niesprawiedliwe, bo bezgraniczne w zaciekłości, napady na człowieka tak szanownego i zasłużonego, jak Chmielowski, ale to bądź co bądź był tropikalny las dziewiczy. Nie mogłem się nazbyt gniewać na skaczące w tym lesie małpy słów, wytresowane przez autora „Małpiego Zwierciadła“, kiedy ważyłem, że puszczono je w ruch taneczny w chwili, gdy rozgorzał się bój pomiędzy suchością politywizmu, zapadającego po dniach młodocianej tęgości na uwiad starczy, i neo-romantycznym tętnem epoki, której bronił młody Nowaczyński, kiedy ważyłem, że Chmielowski, już zapatrzony w głębie filozoficzne Kanta, nie posiadał oka na malowidła Wyspiańskich i Nowaczyńskich.

Większem rozdrażnieniem napełnił mnie pierwszy wielki utwór Nowaczyńskiego „Smocze Gniazdo“, jakkolwiek talent Nowaczyńskiego tu po raz pierwszy nabral potęgi i soczystości. Nie przekupiła mnie szeroka perspektywa historyczna w ujęciu burd szlacheckich epoki Zygmunta III, ani pewne wysiłki autorskie w kierunku demokratycznym — obrony ujarzmionego ludu — ani przepyszne cienie wizerunku królewskiego, bo napełniła mnie zgrozą sama myśl

idealizacyi jednej z najnędrniejszych postaci w Polsce, okrutnika, warchoła i hipokryty — djabła Łańcuckiego. Nie mogłem darować tej strasznej pomyłki autorowi, gdy ważyłem zwłaszcza, że znał on już wyborne dzieło Łozińskiego „Prawem i lewem“, że śmiał podnosić rycerskość tego, który wobec żony swojej i pachółków — jak pokazał sam autor „Smoczego gniazda“ — wodził sztorcem szabli po obnażonej piersi nie niewinnej kobiety Opalińskiej. Wobec tej sceny autorskiej upadała zwykła obrona praw wielkich poetów do przeidealizowania w celach poetyckich ujemnych historycznych postaci, jak to pozwolił sobie Słowacki względem Zborowskiego, Hammerling — względem Nerona, albo jakiś z poetów włoskich nawet względem Lukrecyi Borgii. Bowiem wolno nawet wielkiemu Szekspirowi, jeżeli chodzi o przykład *à contrario*, potępić świetlaną postać Joanny d'Arc, ale wtedy trzeba być konsekwentnym w błędzie i zrobić z niej — czarownicę!

Więc wolno wyidealizować nawet djabła Łańcuckiego, ale wtedy należy zmysłem etycznym wykreślić wszystkie jego świństwa z dramatu.

Oto czemu miałem prawo wówczas, kiedy nierozsądek prasy chciał widzieć w Nowaczyńskim wielkiego satyryka, kiedy obecnie tak przesadnie znienawidzony przez Nowaczyńskiego Feldman prowadził go w laurach Juwenalisa na Kapitol — krzyknąć w głos ze szpalt „Wędrowca“ o „satyryku bez ideału“. Bo ja mierzyłem Nowaczyńskiego wówczas miarą wielkich moralnie postaci Dickensa, Szczedryna i Gogola, którzy rozróżniali pomiędzy dobrem i złem: patrzyli w gwiazdy ideału.

Ale dziś w obliczu nowych dzieł Nowaczyńskiego, patrząc na kłębiące się węzowisko „Smoczego gniazda“ z odleglejszej perspektywy, mogę rzec na obronę tego dzieła talentu dwie rzeczy. Po pierwsze, gdy mówiono u nas tyle o polskiem pochodzeniu Nietzsche-Nieckiego, Nowaczyński marzył o tem, aby wydobyć z dziejów naszych postać na miarę nietzscheańską, szlachetność indywidualizmu z pozorami bestji, i nie jego to wina jest, że materiału na ten gatunek w dziejach polskich nie znalazł, bo w nich był materiał tylko na hart poświęcenia Czarneckich, lub na nikczemność warcholstwa Stadnickich. I powtóre, broni autora jego młodość, która w pierwszym dziele dramatycznym musiała pokrzywić linję zamiarów przez samo wmieszanie się prawdy historycznej.

Lecz odtąd Nowaczyński niemal stale rósł. Wprawdzie błady był jeszcze w ideowych

ujęciach, acz soczysty w języku, w sztuce na temat Imć pana Reja. Wprawdzie nie ściągnął rysunku w komedji na temat życia Węgierskiego: temu poprzednikowi polskiemu lirycznej ironii i cynicznej swawoli Heinego nie dał ani skrzydeł myśliciela-poety z wieku oświecenia, ani nie uczynił go tak dowcipnym, jak jest sam Nowaczyński; ani nie wyczytał z dokumentów historycznych ile bezmyślnego okrucień-

skretnie z boków sceny, daleko na tle dramatu pod stopami postaci scenicznych i nad kopułą dzieła.

*
*
W chwili gdy fanatyczny kler szpiegował odkrycia nauki, jako zdradę religii objawionej, Galileusz wielkie swoje odkrycie o lunacjach Wenusy i dziwnych formach Saturna zniewolony był ukrywać w kryptogramach. Nowaczyński ma do powiedze-

Kliska „Świata“.



Napoleon (p. Jaracz) i Rozalka (p. Sulima).

stwa kryło się pod krotofilną maską księcia Panie Kochanku.

Ale to też Nowaczyński tylko w błędnych sądach swoich krytyków jest satyrykiem w rodzaju Woltera, Heinego, Swifta, Arystofana. W istocie rzeczy jest to wielki charakterolog i jako taki jest samodzielnym twórcą nowego gatunku dramatu, który nie posiada akcji zmiennego ruchu scen, ale jest imponującym urastaniem przed oczyma widza z mnóstwa ruchliwych rysów portretu głównej postaci.

Ten dar N. już jawi się we wspomnianych wyżej dwóch fraszkach, ale urasta do skończzonej potęgi w „Fryderyku Wielkim“.

.. A to wcale nie znaczy, że Nowaczyński nie jest zupełnie satyrykiem. Tylko jego pazury satyryczne czają się gdzieś dy-

nia rodzimemu fanatyzmowi i szowinizmowi bolesne sekrety. Mówi je tedy w kryptogramach.

Takim kryptogramem jest poniekąd „Samozwaniec“, gdzie po za jaskrawym obrazem niewolniczo ściągających się do stóp dziedzica Groźnego bojarów, po za okropnym obrazem niedoli ludu na wschodzie słowiańskim, po za jasnemi przeblyskami duszy Samozwańca, niosącego nowe idee z Polski—kryje się subtelna ironia Nowaczyńskiego pod adresem awanturniczej imprezy Sarmackiej, tworzonej przez ambit i chciwość, nieożywionej wyższą ideą*).

*) Nawiasem mówiąc, ten dramat, mojem zdaniem, ustępuje Macaulayowskiej barwności historycznego dzieła Kostomarowa „Smutnoje wremia w Rossii“.

A nasza krytyka chwali jego dramaty—i nic ich nie rozumie. To jest ona rozumie rzecz, którą zrozumiałoby i małe dziecko, że ujemna w historii postać Fryderyka Wielkiego jest skreślona przez autora ujemnie. Ale ona nie wie o tem, że autor uczy nas tym krzykiem jasnowidzącej rozpacz, który brzmi w apostrofach Słowackiego: „Bo nie masz władzy przekląć, niewolnico!“—uczy nas mocy. Ta bełkocząca dziecinnie krytyka nie dorozumiewa się wielkiej ironii Nowaczyńskiego, która wbrew wszystkim krzykom naszym na niesprawiedliwość opatrności historycznej, powiada nam, że Fryderyk—szalbierz i ździerca, komiczny w drobności i skąpstwie był jednak Fryderykiem *Wielkim*. Ona uczy nas, że on musiał zwyciężyć, bo acz mały bezwzględnie, był większym *względnie* od całego swojego otoczenia: był większym nawet od tego Saksończyka, który urągał mu za oczyma, ale siadał milczkiem do jego stołu, był większym od wszystkich tych dworaków, którzy brzydzą się jego niecnotą, ale słuchali się go, jak pieski pokojowe, i byli rękami jego świąt. On był większy od swego marnego następcy i ujarzmił go, ponieważ on jeden miał ideę, przekraczającą osobisty jego interes—wzrost państwa.

A ponieważ krytyka tego nie rozumie, to zżyma się ona, jak na dziwne nieporozumienie ze strony autora—na ujemny wizerunek biskupa Krasickiego. Taki „Dzień“ błotem obrzucił Nowaczyńskiego za rzekome spotwarczenie biskupa, który przecie w obliczu historii jest zaiste duszą małą. Bo przecie ten biskup pozwalał mianować się w poufnych liścikach króla polskiego i jego kochanek imieniem kota Mineta, bo mimo satyrycznego swojego wzroku autor „Monachomachii“ pisał o największym intrygancie Europy, o sępie, układającym plan podziału Polski, o Fryderyku Wielkim, jako o mile swawołącym i poczciwym staruszkę—jak świadczą jego własnoręczne listy—i dla ocalenia dochodów duchowieństwa zasiadał, jak gość, do stołu zaborey w chwili, gdy wojska pruskie zalewały ziemie polskie!

To też nikt z komentatorów Fryderyka Wielkiego, mimo wybornej gry Kamińskiego i Solskiego, nie usłyszał w scenie, gdy Fryderyk naigrawa się z jedyne go naówczas bohaterstwa polskiego (w epoce „niemego sejm“!)—samobójczego strzału niefortunnego kochanka—młodego Krasickiego, że za plecami Fryderyka śmieje się boleśnie syn pokrzywdzonego przez przeszłość polaków narodu—Nowaczyński. A ten śmiech jest wołaniem do odrodzenia charakterów!

Zniecierpliwiony tem ciągle nieporozumieniem między sobą a krytyką, autor „Fryderyka“ nie może pewnego dnia kryć tajemnicy, w urosłem przez ból patryjotyczny sercu—depce, jak Wallenrod swój płaszcz o barwach neo-romantycznych i dawną sowizdrzalską czapkę z pawiem piórami i rozebrany, jak grecki *gamin* wybiega na plac publiczny i woła w „Meandrach“ do wszystkich episierów, którzy sześć dni prowadzą drobny handel tutkami z pieprzem, a siódmego dnia przewracają anielsko oczyma ze słowami: „Nasz Adam! Nasz Zygmunt! Nasz Juljusz!“ — woła do nich z mądrą dumą Ezopa:

„Gwizdę na waszą romantyczną trójcę“*).

I aby koniec płożyć nieporozumieniom powiada tym ludziom, którzy tylko po to mają sny, mierzące siły na zamiary, aby nie mieć sił do spełnienia zwyczajnych zamiarów kultury europejskiej, że zdałby się nam Fryc w kontuszu, albo Piotr w żupanie. I dla wzmoczenia krwawej ironii potężnego swojego ciosu słowo „Piotr“ drukuje rosyjskimi czcionkami.

Naturalnie, że wszyscy mali ludzie z literackiej ulicy, którzy nie dorosli do kostek Słowackiemu, Mickiewiczowi i Krasieńskiemu czują się osobiście obrażeni i gwizdzą na Nowaczyńskiego...

Zresztą, niech gwizdzą. Dobrze czynią, że gwizdzą. Są słowa, które nie powinny się popospolitować. Nie każdy ma prawo je wymawiać. Gdyby nie gwizdano, dowodzonoby, że tak może mówić każdy. Nie! to są słowa zakazane dla małych ust. Motłochowi potrzebne są bogi. Ale ten, który prowadzi dzieło tych bogów dalej, który widzi nowe potrzeby czasu ma prawo mieć oczy otwarte na stare romantyczne błędy. Posiada prawo do królewskiego gwizdu w przebraniu ulicznika. Nie obala krytycyzmem swoim względem największych twórców Polski ten, który z nakazu Muz jest kontynuacją tej Twórczej Polski. Gwizd Nowaczyńskiego nie oznacza: „Śmierć“! ale „Nowe Życie“!

Otwartość Nowaczyńskiego wszelako uwzględnią ci wszyscy, którzy widzą, że dyskrecja jego „pazurów satyrycznych“ poszła po raz wtóry na marne w „Bogu wojny“. A i na ten raz dostrzeżono to, co

*) Przypuszczam, że nie tylko osobiste porachunki literackie, ale to nowe stanowisko antyromantyczne sprawiło, iż dziś Nowaczyński niepomny zasług Feldmana, tak mocno napada na niego, jak ongi napadał na Chmielowskiego. On musi zawsze nie lubić jakiegось historyka literatury.

było nawierzchu: dostrzeżono szarlataństwo, chytrą włość, rozkład geniuszu, szczył wielkości Napoleońskiej, obłąd ambicji, nędzę ciała, pijany krzyk i ślepotę wielkiego wodza

Ale znowu wszystkim niecierpliwym słuchaczom i niecierpliwym krytykom—niecierpliwym, bo „cierpliwość to geniusz“, którym rzecz ta wydała się nużąca, połowa Janusowej twarzy sztuk Nowaczyńskiego nie ukazała się wcale. Nie dostrzeżono przez krwawy obłok patryjotycznego bólu Rozalki gamajdostwa tych dygnitarzy polskich, którzy dali się zwieść obłąkanej gwiazdzie losów Napoleona, ani ślepoty tych, którzy dawali mu rycerską pomoc nie tylko wtedy, kiedy rozkuwał pęta narodów, ale i wtedy gdy zakuwał w kajdany Hiszpanję. Nie dosłyszano świstu biczów satyrycznej Eumenidy Nowaczyńskiego.

Nie dostrzeżono znowu, że krytycyzm Nowaczyńskiego jest zbyt subtelny, aby mógł być jednostronnym t. j. niesprawiedliwym. On malował Napoleona w momencie rozgromu wielkiej armii, malował go po kilku dniach szalonej bezsennej podróży wśród mrozu, wycia wilków i trupów leżących po drodze, malował go dręczonego chorobą i oszalałego po użyciu trunków. Oczywiście, że w takim momencie Napoleon musiał zmałeć—ze względu na chwilę zatrzymania się wśród ucieczki w Angielskim hotelu—„Bóg Wojny“ musiał zmałeć, gdyż był tylko człowiekiem.

Ale tak małeć—mieć takie złoto-krwawe widma—tak walić się olbrzymim ciężarem swojego ciała—tak jeszcze pod młotem losu nie tracić nadziei—tak jeszcze pozostawać z wiarą w swoją gwiazdę—tak jeszcze planować po utracie sześćset-tysięcznej armii stworzenie nowej i pogrom zwycięskiej Moskwy—tak jeszcze czarować dygnitarzy polskich—tak jeszcze rozkazywać—tak jeszcze pociągać w swoje ramiona kobietę, która na chwilę przed tem deptała go, jako tyrana wolności—może tylko *człowiek wielki*. I znowu wszystko, co Napoleona otacza—pijanego, szalbierza, uciekiniera, i okrutnika—mimo wspaniałego gestu świetnie oddanego w grze Rapackiego najpierwszego dygnitarza Kongresówki—Potockiego, mimo przepysznie oddanej przez Sulimę krasomówczej dumy ideowej panny polskiej z angielskim wykształceniem—maleje wobec tego człowieka—cesarza Francuzów, na wieść o ucieczce którego z wyspy Elby królowie czuli jeżące się włosy na swoich głowach i u stóp, którego kładła się Francja. I dziw, mimo doskonałej gry młodego artysty, p. Jaracza, który w tej tru-

dnej roli pokazywał nam związaną przez talent Nowaczyńskiego wielkość geniuszu i małość człowieka w jednej osobie—krytyka nasza umiała tylko albo przyklasnąć autorowi, że „stracił kolosa na glinianych nogach“, albo pogniewać się nań, że znęca się nad „przyjacielem Polski—genialnym Bonapartem“. Tymczasem ani jedno, ani drugie. Powikłane zagadki historii rozwiązują się zawsze dwoiście—i to odczuwał w cudownych strofach swoich o Napoleonie Sowiński—to zrozumiał w swoim świetnym „Bogu Wojny“—Nowaczyński.

* * *

Czy „Cyganerja Warszawska“ jest krokiem dalej na drodze rozwoju tego oryginalnego talentu—nie wiem jeszcze.

Niechaj Nowaczyński uwzględni, że o tym utworze dziś nie piszę, gdy on poddaje je właśnie uwadze krytyki z pułk księgarskich, ale na razie mój dług krytyczny względem mnóstwa autorów, których książki nadesłano mi wcześniej, urósł ogromnie, a ja jestem tyle nieszczęśliwy, że nie mogę *tylko czytać*, bo niestety muszę pisać... Czytelnicy „Wolnego Słowa“ czekają na numer, który już się opóźni!

„Cyganerja Warszawska“ musi poczekać swojej kolei—przeczytania zobaczenia i natchnienia do pisania o niej.

Tymczasem tytuł mojego artykułu „ocyganii“ czytelników. Albo może ten rzut oka na przeszłość Nowaczyńskiego będzie najlepszym komentarzem do jego nowego utworu?

„Czujemy się jak w cyrkule”.

Z powodu zatargu prasy z technikami.

Tylko Stowarzyszenie Aniołów może być spotwarzzone absolutnie ryczałtową obelgą, bo każdy Anioł stoi ponad wszelkimi zarzutami wysoko.

Tylko Kooperatywa Szubrawców, o ileby istniała, nie może być spotwarzoną przez ryczałtowy zarzut, bo wszyscy, składający ją nicponie, są godni siebie.

To są dwa bieguny—idealne.

Każde Towarzystwo zawodowe na tej ziemi znajduje się w środku pomiędzy nimi, więc i Literacko-Dziennikarskie. Prasa nie posiada wprawdzie Aniołów, ale ma bohaterów, patrzących śmiało w słońce prawdy. Do każdego rydwana, którego koła toczą się po ziemi, przylepiają się kawałki błota: w mocarstwie prasy spotykają się zatem szelmy.

Z tego wynika, że gdy pada ryczałtowa obelga na prasę—może w niej tkwić ziarno prawdy w stosunku do jednych; ale inni, wartościowi, muszą się czuć z prawa dotknięci. Nie obrażają się tylko ci, co są godni obelgi.

Jedyny wyjątek: gdy obrażający nie może nikogo obrazić, bo sam nie jest godzien szacunku. Nikt nigdy nie sądził, aby prezes Stowarzyszenia Techników, p. Piotr Drzewiecki, reprezentujący godność własną i stowarzyszonych techników długie lata bez zarzutu — należał do tych, z których słowami nikt się nie liczy.

Więc i on winien był liczyć się ze swojemi słowami.

Z ust p. Drzewieckiego, który miał prawo wykluczyć grzecznie reprezentantów prasy z pewnego posiedzenia, którego charakter był poufny — padło słowo bardzo niegrzecznej motywacji wydalenia:

„Czulibyśmy się wobec tych panów, jak w cyrkule“.

Jak czujemy się w cyrkule?

Można czuć się dobrze, gdy jest się władnym komisarzem, jeżeli jest się dobrze płatnym i nie jest się akurat bardzo zawalonym pracą.

Można czuć się wybornie, gdy się dostaje szczęśliwie prędko od uprzejmego adjunkta specyfikacje, potrzebne do wyjazdu na Rivierę.

Można czuć się bardzo przyjemnie, nawet gdy się jest redaktorem, przeprowadzanym przez etap cyrkulowy do więzienia ratuszowego, kiedy to nas jeszcze bawi, bo zdarza się po raz pierwszy.

Pan Drzewiecki wie o tem tak dobrze, jak ja, lub nie gorzej odemnie.

Ale można czuć się też bardzo nieszczęśliwie, jeżeli jest się badanym przez ciekawę oczy i rozpytywanym o dość intymne szczegóły życia, może w celach ekstrakpaństwowych, ale wbrew osobistym interesom ideowym.

Jaki rodzaj samopoczucia miał na myśli pan Drzewiecki w swoim uogólnieniu, którego niepodobna nie zacytować, gdyż inaczej będziemy bawili się wciąż w ciuciubabkę—to chyba jasne.

Nie będę przeczył, że lekkomyślna ciekawość niektórych wysłańców prasy może być nie mniej natrętną, niż poważna ciekawość agentów policji — i że są rzeczy, które winny dojrzywać bez udziału tak jednej, jak i drugiej. Dla racjonalnego zaciekawienia każdej z tych instytucyj godzina właściwa wybija, gdy owoc będzie dojrzały — gdy urodzi się zbrodnia, którą

musi wysledzić policja, albo czyn społeczny, który winna podnieść prasa.

Ale ta zupełnie słuszna myśl, którą dzielę wraz z panem Drzewieckim — a która nie dotyka niesprawiedliwie prasy i nieostrożnie policji — powinna w ustach człowieka, potrafiącego ważyć swoje słowa—przybrać odpowiednią formę.

Nie mogę wyobrazić sobie mniej trafnej formy, niż ta, której użył p. Drzewiecki dla charakterystyki samopoczucia stowarzyszonych techników w obliczu prasy.

Czyż trzeba naprawdę motywować, że Towarzystwo literatów i dziennikarzy, stojące na straży godności prasy, musiało uczuć się obrażonym—choćby nie wszyscy literaci i dziennikarze posiadali dość honoru, aby czuć moc obrazy?

Kwestja sposobu reakcji na obrazę — to już szczegół. Można nie godzić się na ten lub inny rodzaj moralnej represji w odpowiedzi na nią—to już sprawa wag indywidualnych—ale tylko Towarzystwo ludzi bez honoru przyjęłoby z zimną krwią obelgę z ust, które przywykło się szanować.

Kto wśród przedstawicieli prasy się nie obraził, ten albo nie szanuje godności własnej, jako członka prasy, cokolwiek myśli o różnaitości barw moralnych, składających dziennikarską tęczę—albo nie szanuje dostatecznie opinii tak poważnego czynnika kultury, jakim jest Towarzystwo Techników.

Czyż trzeba motywować, że z chwilą, gdy znaleźli się w prasie ludzie, którzy powiedzieli p. Drzewieckiemu: „Czujemy się urażeni Pańskimi słowami“ — wypadało nie tylko zapewnić, że nie miało się zamiaru obrażać prasy, ale zaprzeczyć kategorycznie, iż pewne słowa były powiedziane, (gdyby tu była pomyłka niedosłyszania), albo cofnąć je, jako przypadkowy *lapsus linguae*.

Raczej upór namiętności jest brzydkim, niż pseudo-honorowe trwanie w błędzie.

Cóż dopiero rzecz o postępowaniu zgromadzenia, które wciąż zmienia stanowisko—to rozsądnie przeprosza, to znowu solidaryzuje się z błędnym krokiem swego prezesa? Zamiast dmuchnąć na mydlaną bańkę i skończyć z tą sprawą w jeden dzień, wytwarza się całe obłoki mydlin, które gryzą oczy obu stronom już kilka tygodni ku zgorszeniu publicznemu.

Jest rzeczą niesłychanie przykrą widzieć, jak pewne organy prasy, które nie rozumieją wspólnego interesu godności korpo-

racyjnej — przez niechęć do Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów, przez prywatę, burzą się przeciw niemu, podtrzymując w błędzie Stowarzyszenie Techników, że wolno używać ryczałtowych oskarżeń w formie uchylającej na stanowisku odpowiedzialnym — prezesa instytucji kulturalnej, (choćby nie miało się zleć woli, lub choćby miało się częściowo słuszne powody do zażaleń na niedyskrecję prasy).

Można, stojąc po za obrębem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, wytaczać mu boje, prostować jego ścieżki — w imię wolności indywidualnej; można będąc członkiem tego Towarzystwa krytykować jego zarząd jaknajostrej w swoich organach, lub na posiedzeniach ogólnych, ale nie wolno, będąc uczciwym i rozumnym dziennikarzem, dyskredytować swojej poczytalności, poniżać swojego honoru, przeszkadzać wytworzeniu się solidarnego poczucia godności korporacyjnej, bez którego prasa będzie ulicznicą, którą każdy przechodzień będzie miał prawo trącić łokciem i zelżyć — nie można napadać na Zarząd Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, panowie z „Porannego“ i „Prawdy“, kiedy on występuje w obronie *i waszego honoru!*

Albo może wy nie czujecie się obrażeni zestawieniem p. Drzewieckiego, które nie może być przykrem dla policji, bo ona, jak wszelka władza, ma przywileje, ale które nie może być miłym dla naszej nieuprzywilejowanej wobec policji — ciężko walczącej prasy?!

Ba! „Kurjer Poranny“ * dziś (3 listopada) fiknął nowego koziołka. Już teraz nie tylko Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy — sól w oku „Porannego“ — już teraz „oba Towarzystwa staczają się coraz niżej“. („Poranny“, stojący w dole, boi się, aby mu nie spadły na głowę!)

A jeszcze głównie młot „Porannego“ bije w „Zarząd T. L. i D.“ Dłaczego?... Bo ten nie przyjął — jak widać z uchwały Stow. Techn. — obywatelskiego sądu, przez nie proponowanego. A ja mniemam wbrew „kurjerkowi“ z Wierzbowej, że „Stow. Techn.“ znowu znalazło się na błędnej jarydycznie drodze.

Obrażono prasę. Jej krzywdy ujął się jedyny przedstawiciel prasy u nas, Zarząd „Tow. Lit. i Dzienn.“ Jeżeli Zarząd postąpił źle — jeżeli omylił się, kwalifikując słowa sprawiedliwe, lub obojętne, jako obrażę — jeżeli przesadził, stosując niewłaściwe środki represji, bojkot w najszerszych granicach — to Zarząd może być sądzonym tylko przez zebranie ogólne, przez swoją

Izbę Parów — może otrzymać *votum* nieufności, jeżeli źle zrozumiał obowiązki stróżowania honoru prasy.

Jeżeli ogólne zebranie powie swemu Zarządowi: „nie!“ — Stow. Techn. otrzyma satysfakcję na jedynej drodze racjonalnej. Jeżeli wyrazi mu *votum zaufania* — będzie wtedy jawnym to, co dziwnie ukryło się oczom Stow. Techn., że ono nie ma zatargu z Zarządem Tow. L. i D., bo ten działa nie w swoim imieniu, jako kupka osób, ale z prasą, którą Zarząd reprezentuje.

W tej chwili trwa wojna pomiędzy Tow. Lit. i Dzienn. i Stow. Techn.

Jedna ze stron musi przegrać w tej walce — ustąpić. Lub mogą one swój konflikt załagodzić wzajemnym porozumieniem się swoich delegatów. Mogą wreszcie trwać nadal w stanie wojny — co byłoby godnym pożałowania ze względu na szkody społeczne.

Ale oba Stowarzyszenia są jednakowo zwierzchnicze (*souverains*). I niema u nas sądu obywatelskiego, który by stał ponad nimi. Nie jest ujmą dla żadnego mocarstwa, gdy nie chce poddać się sądowi trybunału międzynarodowego w Hadze — choć ten istnieje — i przenosi szanse wojny, w której liczy na swoje siły. Zkąd tedy przyszło na myśl Stow. Techn., że Zarząd Tow. Lit. i Dzienn. rzekomo shańbil się, nie przyjmując propozycji sądu obywatelskiego, który nie mógłby posiadać jurysdykcji nad całą prasą i który nie posiadałby dostatecznej kompetencji w kwestji, co może obrażać dziennikarza!

My sami mamy prawo być sędziami naszego honoru — i nim ogólne zebranie wypowie sąd, który łatwo odgadnąć — o tem, czy nasz Zarząd dobrze sprawuje opiekę nad honorem naszej korporacji, apelujemy do zdrowego społecznego poczucia Stow. Techników, aby konflikt załatwiło na drodze pertraktacji polubownych przez delegatów, jak przystoi dwóm suwerenom!

PANI EL.

Maryi Joannie-Walewskiej (Hr. Wielopolskiej).

Czytałem nocą „Panią El“ — i wiem już
przecie,
Jak na imię jest jasnej, subtelnej kobiecie
I wykwintnej autorce... Bo zorza zaranna
Szeptła mi: „Walewska“ i „Marja-Joanna!“
Chciałbym Ci, Pani, złożyć hołd! — lecz to
odłożę...
Zachwył Cię jeszcze słucha — więc mówić
nie może!